



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory piśm peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi piśm i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TRESC: Stowarzyszenie studenckie. — Szlachta polska, broszury W. Smoleńskiego p. A. S. — Kazanie postne o zazdrości p. L. Börnego. — Osiemdziesięcio-letnia rocznica urodzin Wiktora Hugo p. A. Sygietyńskiego. — Myśli Huxleya o wychowaniu. — Tajmnice życia duszy p. F. Bogackiego. — Piśmiennictwo polskie: Dla Zagrzebian p. J. K. Historia filozofii Langego. — Teatr: dramat H. Sienkiewicza *Na jedną kartę*. — Liberum veto. — W perspektywie. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenie.

Upraszamy szan. abonentów naszych o wczesne nadsyłanie kwartalnej przedpłaty i tym sposobem oszczędzenie sobie przerwy w odbiorze piśma a nam kłopotu i kosztu przedrukowywania jego wyczerpanych numerów. Skutkiem licznych opóźnień w kwartale bieżącym niektóre numery *Prawdy* musieliśmy drukować trzykrotnie. Ci z szan. abonentów, którzy z jakichkolwiek bądź powodów nie zdążą przesłać pieniędzy przed kwartałem a życzą sobie nadal otrzymywać *Prawdę*, zechcą uwiadomić nas listownie.

Bezpłatny dodatek do *Prawdy*: **Sprawa polska w literaturze rosyjskiej** — rozesłanym będzie przy ostatnim numerze kwartału bieżącego.

STOWARZYSZENIA STUDENCKIE.

Zamierzona i oddawna przygotowywana reforma ustawy uniwersyteckiej wprowadziła pod rozprawy ministerium i prasy stowarzyszenia studenckie. Ze względu na naszą młodzież przedmiot ten posiada dla nas bardzo ważne znaczenie, to też zastanowimy się nad nim szczegółowiej.

W żadnym kraju idea związków studenckich nie dojrzała bardziej i nie wydaje lepszych owoców, jak tam, gdzie ustroj uniwersytetów wznosił się do najwyższej doskonałości — jak w Niemczech. Kto niemieckie *Vereiny* przedstawia sobie tylko ze strony rapirowych popisów i knajpowych pijatyk, ten wie tyle o nich, ile chłopiec o armii, który sądzi, że żołnierz jest na to, ażeby mu ukradł kożuch ze strychu lub wykopał z ogrodu kartofle. Nie przeczymy, że widok studentów niemieckich

z posiekaniami jak kotlety twarzami, zalewających się piwem i szczujących psami po ulicach sługi, nie jest obrazem wzniosłym i nie otacza związków studenckich żadną chwałą. Nie należy jednak mniemać, ażeby on był zależnym od tej instytucji i ażeby wyczerpywał całe jej zadanie. To, co nas razi w niemieckich *Burschenschaftach* i *Landsmannschaftach*, razi nas w całej germańskiej rasie: jest to surowość obyczajów, upodobanie w militarnych rozrywkach i potrzeba nasiąkania piwem. Właściwości plemienia odbijają się w jego grupach, a ze szczególną siłą w tych, w których przyrodzone instynkta występują najgwałtowniej. Poważną wartość ma przysłówie, utrzymujące, że „młodość musi się wyszumieć.“ Chybi celu każdy prawodawca, który tego faktu nie uwzględni i zechce młode natury ująć w spokojną koleję starszych. Chociażby je skrepił żelaznymi więzami, one zawsze znajdą dla siebie jawnie lub skrycie sposobność do wyszumienia. Że jest to przechodnia potrzeba wieku, dowodem właśnie korporacje niemieckie. Ci sami ludzie, którzy lat kilka przepędzają na mensurach i w knajpach, jednego dnia porzucają próżniactwo i hulaszczę życie, zabierają się do pracy i wychodzą z uniwersytetów jako najpoważniejsi obywatele kraju. Niejeden uczony, który, zdaje się jak mól wyrósł w książkach, ma w swej przeszłości długi okres „szumienia.“

Niedość tego. Obok stowarzyszeń etnologicznych i politycznych, uprawiających głównie sztukę rapirową i hulanki, istnieją w Niemczech między studentami daleko liczniejsze związki naukowe lub artystyczne, zupełnie wolne od tej dzierzgawiztanowiącej najlepszej postaci idei korporacyjnej. Celem ich jest wspólne kształcenie się w jakiejś umiejętności lub sztuce. Znajdujemy tu kółka filozoficzne, lekarskie, przyrodnicze, gimnastyczne, muzykalne itp. Członkowie ich nie mieszają się do życia

politycznego, nie przeprowadzają przez swą organizację jego bieżących prądów, nie robią awantur i hałasów, lecz przygotowują się spokojnie do przyszłych zawodów. Te to korporacje dostarczają narodowi najdzielniejszych ludzi.

Ustawa uniwersytecka w Rosyinie obdarzyła dotąd studentów prawem swobodnego stowarzyszania się; wyjątek w niej stanowi tylko Dorpat, którego niemiecka wszechnica posiada je w całej pełni. Jest to bardzo naturalnem, że takie uprzywilejowanie Niemców dało uniwersytetom rosyjskim słuszny powód do skargi i usiłowań rozszerzenia przywileju na całe państwo. Bo i dla czego — pytano — narodowość obca ma korzystać z prawa, odmówionego miejscowej? Jeżeli korporacje niemieckie są pożyteczne, dla czego rosyjskie mają być szkodliwe? Pytania te, łącznie z całym prądem, dążącym do większego usamowolnienia studentów, znów wysunęły na jaw sprawę stowarzyszeń. Kilka uniwersytetów nawet przesłało prośby do ministerium i zyskało podobno w zasadzie przychylne uznanie. Sądzimy, że ruch w tym kierunku nie ustanie bez skutków i dla tego dorzucamy do niego głos w interesie własnym.

Przypatrując się życiu naszych studentów niejednokrotnie uczuwalismy w niem ujemne skutki braku stowarzyszeń. Pozbawieni wszelkiej łączności, zmieszani w gromadę a rozdzieleni tysiącem różnic, przedstawiają oni obraz, jakiego w Europie znaleźć trudno. Całem dla nich ożywieniem jest odbieranie biletów lub wysługiwanie się na odczytach dobroczynnych i koncertach. Nie mówiąc już o żadnych związkach politycznych i narodowościowych, czy widzimy ich połączonych węzłami wspólnych studyów, zajęć i rozrywek? Czy widzimy, ażeby oni wzajemnie się wspierali, krzesali w sobie zapał i wzmacniali energię do nauki lub sztuki; ażeby

dzielili się myślami i uczuciami? Kursują codziennie od domu do auditorium i od auditorium do domu, znużeni, pognębieni, zniechęceni do obowiązku, nieraz i do tej ławki, która ich mechanicznie obok siebie sadza a ściślej nie łączy. Jest to gromada Robinsonów, zmuszonych stwarzać sobie samoistne życie. Żaden z nich nie ma nawet sposobności podzielić się z kolegami tem, co mu do głowy lub serca przybyło. Zasada stowarzyszenia tak dalece przenika obyczaje studentów niemieckich, że przed egzaminami łączą się oni po kilku, piszą sobie ustawy, określające ściśle czas pracy i rozrywki oraz stopnie kary za nieprzybycie, i co najważniejsza — karom tym poddają się jak najuleglej. Tym sposobem młodzież uczy się bardzo wczesnie samorządu i poszanowania dla samodzielnie nałożonego prawa. U nas są to stosunki zupełnie nieznanne i nieuznane. Gdyby pedel dostrzegł trzech studentów, układających regulamin wspólnego uczenia się, niezawodnie doniósłby o tem z przerażoną miną inspektorowi, który poważnie zastanowiłby się nad niebezpieczeństwem tego faktu.

Jeżeli namiętnościom, wrzającym uczuciom, całemu wreszcie wylewowi młodości nie otworzymy ujścia w samym życiu studentek, będzie się on ciągle wyrwał na zewnątrz, często tam, gdziebyśmy go wcale widzieć nie pragnęli. Nic nie pomogą ani zakazy, ani morały. Młodzież, która nie śpiewa w swej korporacji piosenek studentekich, śpiewa w teatrzykach piosenki sprośne.

Uniwersytet, nieposiadający stowarzyszeń, z konieczności jest uważany lub sam się uważa za jedno stowarzyszenie. Oba te wypadki są bardzo niepożądane. Często bowiem kilku lub kilkunastu studentów, przywłaszczając sobie pełnomocnictwo, występuje od całej instytucji w sposób budzący niechęć wśród innych jej żywiołów lub pewnych warstw społeczeństwa. Widzimy wtedy nie członków jakiejś jedynie za swe czyny odpowiedzialnej korporacji, ale studentów uniwersytetu. Stąd walki, protesty i oskarżenia.

Każdy uniwersytet jest wielkim magazynem publicznym, w którym każdy, bez

względu na swój charakter moralny, może nabywać wiedzę. Rzecz prosta, że w takiej różnorodnej mieszaninie pierwiastków, chociażby jednako umundorowanych, powstać muszą wyraźne rozdziały, niedopuszczające wytworzenia się ściślej solidarności. Koleżeństwo wspólnej ławki jest fikcją tam, gdzie obok siebie zasiadają najrozmaitsze, często wrogie rasy, narody, wyznania, żywioły społeczne. Wyobraźmy sobie jakąś słynną wszechnicę niemiecką, w której obok krajowców kształcą się francuzi, Anglicy, Amerykanie, Polacy, Serbowie, Rosjanie, Izraelici, katolicy, protestanci — czy ci ludzie mogą mieć pokrewne przekonania, cele, honor? Tam też nie występuje zwykle nigdy solidarnie cały uniwersytet, ale jego korporacje, grupujące w sobie jednostki bratniego rodzaju. U nas w braku stowarzyszeń wytwarza się doraźnie polityka, cześć studentka i t. p. *generalia*, które niczego nie wyrażają a w ścieraniu się odmiennych prądów giną. *Głos* bardzo słusznie powiedział: „dla nauki potrzeba spokoju, a spokoju nie będzie bez organizacji studentów“. Przekonała o tem świeża awantura w uniwersytecie petersburskim, przekonała i świeże zajście w naszym. Student zadunecyonował kogoś; oburzyło to jego kolegów, którzy naprzód zerwali z nim stosunki a następnie zażądali od władzy wydalenia. W sprawie tej wystąpili *wszyscy* studenci, którzy taką zbiorową manifestacją *całą* szkołę postawili na wulkanie. I dla czego wszyscy, dla czego *całą*? Dla tego, że nie było korporacji, któraby naprzód zbyt gorliwego oskarżyciela powstrzymała od tego kroku lub nie powstrzymawszy, ukarała go sama, bez wciągania całego uniwersytetu w to marne zajście. Obowiązek zmycia plamy ciążyłby tylko na tem kółku, do któregoby winny należał, i nie dotyczyłby wcale innych, niepozostających z nim w żadnych stosunkach. Słowem, jedynym środkiem ubezpieczenia uniwersytetu od częstych i powszechnych w nim zamieszek jest rozerwanie kruchej, doraźnie lepionej solidarności ogólnej i rozbitcie jej na pojedyncze, korporacyjne.

Jak dalece potrzeba ta odzywa się silnie,

świadczy drobny ale wymowny fakt, że niedalekim od uznania jej jest nawet p. Katkow.

SZLACHTA POLSKA.

Opracowań dziejów szlachty w literaturze naszej nie brak — są niemi wszystkie historie polski; brak jednakże portretów. Czując to p. Smoleński, postanowił ją odfotografować w kilku światłach. A naprzód *w świetle własnych opinij*¹⁾. Jest to obrazek w formacie niewielkim, bo zawiera ledwie 25 stronic druku. Autor kreśli w nim naprzód rodowód szlachectwa polskiego (naturalnie wedle własnych jego mniemań). Jak daleko korzenie sięgały, nikt dokładnie rozstrzygnąć nie umiał, choć i o Noego zaczepiano; widziano tylko „drzewo cedrowe, które osobiwszą woń i zieloność z siebie wydawa,“ z dumą spoglądając na karłowate krzewy innych stanów. W tym cedrze musiała płynąć krew czysta, ani obcą domieszką, ani podłem zajęciem niepokalana. Szlachcie z urodzenia był słońcem, winien też jak ono czynami świecić, promieniami cnot rozpraszać chmury, które sławę jego cmiły. Był on piersiami i sercem w tem ciebie, w którym głową król a nogami — kmiotkowie, rzemieślnicy i kupcy. Oczarowany też takim widokiem Orzechowski wołał: szczęśliwa przeto jest Polska, że na stanie szlacheckim jako na słupie stanęła, a owym, którzy grosz groszem gonia, łokciem mierzą, kwartą szynkuja, rzemiosła robią albo plugiem są zniewoleni u drugich — takie miejsca zostawiła w Królestwie, jakie w domu u gospodarza miewają słudzy. W duchu tej logiki postąpił statut warteński, który proceder miejski zrównał z lotrowstwem. Prawa z r. 1633 oddających się rzemiosłom i handlowi pozbawiało szlachectwa wraz z dziećmi a konstytucja z r. 1633 klątwę tę wzmocniła. Jeśli ów klejnot tak był drogim, to i wiel-

¹⁾ Odbitka z *Ateneum*, Warszawa 1880.

Postne kazanie o zazdrości.

L. Börnego.

Szkarlatyna zapelnia w *Encyklopedyi* przeszło sześć stronic, a zazdrość zaledwie pół strony. Dziwny stosunek. Słabość, która tylko dotyka zewnętrznej strony ludzkiego życia, znajduje pomoc lekarską, staranną opiekę, prędko znika, lub łagodnie zabija dzieci, jeśli natura jest nieprzejednaną. Tymczasem zazdrość, która szerzy się po wszystkich wielkich obszarach życia mężczyzny i kobiety, ich wnętrze targa, rozdziera, zatrzuwa, przesładuje srodze a przerażone uczucia wypędza z najciemniejszej i najtajniejszej kryjówki uczucia, nadaremnie szuka pociechy i pomocy — znajduje tylko szyderstwo i pogardę; nie zna ani spokojnej śmierci, ani wyzdrowienia. Prometeusz za to, że skradł ogień z nieba i tełnął go w wilgotnego człowieka, został

przykuty do skały, gdzie sęp gryzł mu serce, lecz nie rozgryzł. Miłość jest tym płomieniem, którego bogowie ludziom użyć nie chcą, a zazdrość zarłocznym sępem, mszczącym się surowo za kradzież.

Zazdrość mężczyzny inną jest, niż zazdrość kobiety. Mają one wspólne źródło, lecz ich bieg i — ażeby obraz ten był pełniejszym — brzegi, które omywają, są tak nieskończenie różne, jak ich ujście, jeśli go dosięgają, nie zgubiwszy się w głębiach. Mężczyzna nie pała nienawiścią do swego współzawodnika, kobieta gardzi rywalką. Zazdrość mężczyzny jest burzliwym morzem, które wszystko zatapia, wszystko, co w nim jest silne, zrywa i pochłania, które wszystkie jego głębie zalewa, wszystkie strumienia uczucia ogarnia i duszę niszczy. Zazdrość kobiety — to wązki, wartki, podstępny potok, kryjący swą głębię, nad którym ciche brzegi sterczą tem wyżej i ostrzej. Podnieca ona jej uczucia i wzmacnia duszę. Zazdrośny mężczyzna jest gniewnym lwem; jest on wspaniałomyślny, tylko głód zmusza go do rozdzierania łupu. Zazdrośna kobieta jest rozkoszczoną żmiją; jest ona próżna i tylko pożądliwość pobudza ją do kłania. Oburzenie zazdrośnego

mężczyzny zwraca się ku przedmiotowi miłości i przerywa ją; oburzenie zazdrośnej kobiety zwraca się do rywalki i potęguje miłość. Zazdrość czyni mężczyznę głupim, śmiesznym, pozbawia go miłości i szacunku kobiety; kobietę zaś czyni rozsądniejszą, sympatyczniejszą i podnieca uczucie mężczyzny. Zazdrość jest straszem, krwawym narzędziem, którego kobieta lekkomyślnie używa dla nasycenia swej próżności; często obraża ona nawet kochanego mężczyznę, ażeby rozkoszować się jego bólem. Mężczyzna gardzi tym okrutnym środkiem, choć używając go, rzadko chybiłby celu: obudziłby drzemiącą miłość kobiety, zmusiłby do wyznań utajoną lub stworzył nieistniejącą.

Radość jest prostą, gdyż zapelnia sobą całego człowieka. Każda bowiem rozkosz, bez względu na to, przez jaki zmysł lub przez jaką stronę życia wchodzi, jest tylko surowym materiałem, który przy wejściu składa małą opłatę, a potem dalej się posuwa, aż wreszcie w ludzkim sercu, tym wielkim warsztacie, zostaje przygotowany podług stałych i niezmiennych reguł. Wszystkie rozkosze, niezależnie od różnicy swych części składowych, gdy przejdą

ką musiała być kara za skradzenie go. Prawo z XVI stulecia zabójcę mniemanego szlacheica uwalniało od wszelkiej odpowiedzialności. Przyszedł jednak czas, który w tym murze zaczął pomału robić szczyby. Czego nie pokonały wymowne słowa, to zwyciężyła nieubłagana konieczność życia. Stosunki ekonomiczne wydobyły prąd nowy. Gdy filozofia głosiła, że „między enotą a groszem wielki swar jest i wielka niezgoda“, szlacheic przekuwał — wedle Kochanowskiego — granaty ojcowskie na plugi i rożny, w przyłbicach owies mierzył lub hodował w nich kwoczki. Teoretyczna opozycja przeciwko wyobrażeniom objawiała się bardzo słabo. Z poważnych zapasników jeden tylko Modrzewski występował do walki, żądając, ażeby „głowami kmięciami, jak kostkami, grać nie chcieli.“ Nie taili jednak nadużyć i inni pisarze. „W Polsce — wołał Orzechowski — świnie są droższe niż ludzie. Szemrzą na nas mieszczanie i chłopci, bo się z nimi jak z niewolnikami poganym obchodzim... praw innym stanom nie dzierżym, a na swój młyn wszystką wodę wiziemy.“

Wiek XVIII dopiero — według p. Smoleńskiego — szlachecką budową wstrząsnął do gruntu. W *świecie* też jego *opinij* (Ateneum, styczeń 1881), autor przedstawia szlachtę polską. Pierwszy dowód rozkładu starych pojęć widzi w tak zwanej suplice tarczyńskiej (1767), której autorowie poddaństwo mianują gwałtem, oprócz własności gruntów i osobistej swobody żądają przyznania sobie praw politycznych i przypuszczenia do obrad; pod hasłem: „mizerya i lzy“ występują z zasadą równości w obliczu prawa i ludowego wszechwładztwa. Konstytucye z r. 1768 i 1775 pod naciskiem rozwoju pojęć i stosunków ekonomicznych poczyniły pewne ustępstwa praktyczne na korzyść żywiołów upośledzonych. Weeleciem tej zmiany był *Pan Podstoli* Krasickiego, który nie zszedłszy zupełnie z dawnego gruntu, zbudował na nim nową budowę społeczną i osadził w niej znacznie zdemokratyzowanego szlacheica. W dalszym ciągu przeszczepiona do Polski teoria Locke'a i szkoła prawa natury nadwyrężyły znowu socyologię szlachecką. Do

zburzenia tej Bastylli, prócz Naruszewicza, rzucili się trzej najgłośniejsi rewolucyoniści: Staszyc, Kołłątaj i Jezierski. Według nich, szlachta była gwałcicielem, oszustem, spiskowcem; wydarła bowiem prawo większości i na swoją tylko obróciła je korzyść. W kupie ksiąg potężnych zaledwie jedno lub dwa przyjazne narodowi zawarła prawa; wszystko zresztą przywilejami zapełniła dla siebie. Panowała absolutnie i despotycznie. Uważała się za naród, chociaż z dziećmi i kobietami liczyła zaledwie 100,000 osób. Samych mieszczan było czterokrotnie więcej. I cóż to za naród — wołał Kołłątaj — w którym 100,000 rodzin narać chować nie można? Dla dopełnienia miary zaprzeczono nawet szlacheic polskiego pochodzenia. Wichry rewolucyi francuskiej rozdmuchiwały zdala ten pożar, z którego płomieni dobywał się mściwy okrzyk: „co było na górze, będzie na dole, a co było na dole, będzie na górze.“ Okrzykowi temu wtórował zgodnie z nim nastrojony chór skarg chłopskich i mieszczańskich. Wśród takiego wrzenia rozpoczął swe prace sejm czteroletni. Przyjęli w nim udział ludzie nowem technieniem owiani, ale roztropność — jak byśmy dziś powiedzieli — oportunizm skłonił ich do ustępstw na korzyść szlachty, do praktycznego umiarkowania zasad. „Przezorność ze względami historyczno-lokalnymi kazała redaktorom ustawy 3-go maja liczyć się pilnie i ztąd to przepaść pomiędzy ich myślą a czynem. Demokraci z zasady — konserwują organizację stanową; nieprzyjaciela rodowości mieszczaństwo, by je do życia publicznego wprowadzić, przepuszczają przez alembik szlacheictwa. W każdym niemal rozdziale konstytucyi 3 maja czuć dreszcze postępu przed grozą starej socyologii, która istotnie w masach szlacheckich kwitnęła tak żywo, jak przed wiekiem lub dwoma. Na zasadę przyrodzonej równości odpowiadali szlacheice, że garncarz „z gliny i proste naczynia i polewane, także farfury najprzedniejsze robi i to nie do jednego użytku.“ Ustawa majowa, pomimo przezorności jej twórców, do niechęci powodów dawała dużo; gdy więc magnaci zatknęli targowicki sztandar wywrotu a za hasło wzięli szla-

checką wolność i równość — wysunęli się i farfuriwrycerze gotowi szablą swoją ządania ich poprzeć. I wywalczyła ta spółka konstytucyę ostatniego sejmku Rzeczypospolitej — konstytucyę, która szlachtę tylko uznawała za zdolną do godności, honorów i urzędów tak duchownych jak świeckich. Groźba kołłątajowskiej o Samsonie powieści spełniła się strasznie. Stary ślepiec budowę nową wywrócił, a ciężarowi walącego się gmachu starego sprostać już nie mógł. Gruzami przywalił naród i sam pod nimi grób znalazł.“

Na widoku tej ruiny kończy p. Smoleński swą drugą historyczną opowieść. Obie rozprawki są bardzo ogólnymi szkicami, ale szkicami, uwydatniającymi doskonale główne punkta obrazu. Jest on skresłonym energicznie i barwście. Autor, uderzający zawsze bardzo silnie w struny dziejów, wydobywa z życia szlachty wstrząsające akordy. Jakież *vanitas vanitatum* rozlega się w duszy naszej, gdy z dnia dzisiejszego, w świetle obecnych opinii oglądamy ziemskich bogów XVI i XVII stulecia, odurzonych znikomą wielkością w swych szlacheckim Olimpie! Jakże budowa społeczna w ciągu ostatnich kilku wieków popękała, rozpadła się i przekształciła! Coby powiedzieli zmartwychwstawszy — już nie ciemni herbowicze, ale Orzechowscy i Reje, gdyby zajrzeli do serc naszych! Niezmordowany czas rozpala ciągle w ogniu stosunków społecznych stare żelazo szlacheckie i przekuwa je na nowe narzędzia życia, chociaż uderzeń jego młota prawie nie słyszymy.

A. S.

OSIEMDZIESIĘCIO-LETNIA ROCZNICA URODZIN

WIKTORA HUGO.

Paryż, d. 27 lutego 1881.

Wiersze poetów, kwiaty dzieci, lzy kobiet, okrzyki mężczyzn, dźwięki miedzi, głuchy jęk bruku pod nogami stąpających, szelest chorągwi i flag powiewających nad

przez serce, zamieniają się w krew. Dlatego też radość jest tak prostą i niezmienną, dlatego pożądanie jest wielkim warunkiem naszego szczęścia, gdyż dla odświeżenia wrażliwości serca, trzeba nasycone wygłodzić. Lecz ból jest wielorakim, bo serce rozkładające się odpycha go; nie wolno mu opuścić członków, które trapi; w każdym z nich oddzielnie czuć on się daje. Istnieje jednak ból, który z radością ma tę straszną wspólną cechę, że napelnia całego człowieka i zamienia się w krew życia; mianowicie — zazdrość. Jeśli muzyka jest nadziemską rozkoszą, a człowiek, który ją słyszy, odczuwa uciechy wszystkich światów, to zazdrość jest nieludzkim bólem a pierś, którą napelnia, czuje cierpienia wszystkich tworów. Pogardzona miłość jest śmiercią. Zazdrość jest straszliwszą; jest ona obawą śmierci.

Kobiety nie umieją cenić miłości mężczyzn. Ponieważ dla niej poświęcają wszystko, co posiadają, zdaje im się, że spłaciły całkowity dług. Łudzą się wiecznie, że miłość ich jest większa; sądzą bowiem, że dają wtedy, gdy biorą. Kobieta żyje wówczas tylko, gdy kocha, a odnajduje się, gdy ginie w mężczyźnie. Serce kobiety rodzi

się pustem, — nie w niem nie potrzebuje ustępować miejsca obrazowi ukochanego mężczyzny. Dusza mężczyzny jest pełna i zaludniona; musi on z niej cały świat usunąć, dla pomieszczenia przedmiotu swej miłości. Ofiaruje kobiecie wszystkie swe uczucia, plany i nadzieje. Uczucia jego — to potok, a myśli — to łódzie, na których ukochanej sprowadza wszelką radość i siły życia. W jedne ręce powierzył całe swoje mienie, a gdy jego miłość będzie wzgardzona lub zdradzona, pozostanie bez dachu i chleba, ogołocony ze wszystkiego. Gdzie się nieszczęśliwy obróci? Czy ból swój ma utopić w wirze namiętności; groźne fale uniosą go znowu i wyrzucą na brzeg. Czy ma szukać rozrywki w pracy ducha? Lecz i ducha poświęcił ukochanej. Nie może się ogłuszyć, bo nie słyszy, nie może się oślepić, bo oczy jego są zawarte.

Dla kochającego młodzieńca cała ludzkość jest rzeczą. Świat jest dla niego martwym i wyludnionym, jego tętna nie biją, gdy serce ukochanej dla niego bić przestaje.

Każdy ból duszy ma swoje gorące lzy, które roztopiają niejeden soplek uczucia; nie ma ich tylko zazdrość, a suche, zwęglone

oko ukazuje spieczone wnętrze wygasłego krateru. Każda boleść ma swój sen, który ją ukołysze w zapomnieniu; tylko zazdrośny czuwa ciągle i żaden rozkoszny sen nie wraca mu tego, co stracił na jawie.

Jeśli najłżejsza słabość cielesna znajduje lekarza, a nawet zły humor swego pocieszyciela, czemuż najstrasliwsze z cierpień nie doznaje pomocy i ulgi? Czemu zazdrośny nie znajduje lekarstwa ani współzucia? Bo jego bliskość jest groźną i szkodliwą; gdzie on przebywa, węże kryją się pod różami towarzyskiej przyjemności. Kochający mężczyzna wsparł cały swój byt na sercu kobiety; gdy ta podstawa zachwieje się i złamie pod nim, spada on w próżnię, a im jest znaczniejszym, im więcej posiada cnót, tem spada straszliwiej i niebezpieczniej dla tych, których na drodze spotyka. Ludzie też unikają go jak niszczącej bomby. Każdą inną słabość, każdy występki wybaczymy mężczyźnie, gdyż psuje jedną tylko część jego istoty, a przyjaźń lub szacunek w innych zdrowych częściach wynagradza chorobą. Kto jednak dotknięty chorobą zazdrości, tego natura jest na wskroś zgangrenowana; jak zły dłużnik

głowami tłumu, pobożne skupienie ducha przerywane odgłosami radości, dwakroć według jednych a według drugich pięććroć stotysięcy serc bijących jednakowem uderzeniem pod oknem, z którego widniała biała głowa poety, taką była dzisiejsza uroczystość Paryża, który w dniu 27-go lutego przyszedł skłonić się przed geniuszem i patryotyzmem, przed poezją i dobrocią, przed sercem i głową jednego z największych ludzi dziewiętnastego wieku. Była to apoteoza wcielonej myśli i uosobionego uczucia, a pokora człowieka, który na nią ze wszech miar zasłużył. Odrzućmy bowiem na chwilę surowość ścisłej i dokładnej krytyki, któraby z konieczności wykazała nam olbrzymie braki i niedostatki w szerokiej i różnorodnej działalności Wiktora Hugo, a zobaczymy odrazu, że jest to człowiek wybiegający o całą głowę nad tłum nie tylko tych, którzy przyszedli na *avenue d' Eylau* schylić swe czoło w charakterze wielbiących go choć ciemnych, ale także i tych, którzy tam nie poszli w charakterze odsadzających go od wielkości, choć oświeconych.

Niebył błędów nie stanowi jeszcze doskonałości dzieła, tak samo jak niebył cierpień nie stanowi szczęścia. I w dziełach też Wiktora Hugo na każdym kroku natknąć się trzeba na braki i ułomności, tak jak w jego życiu — na długie chwile niepowodzeń i cierpień; nie przeszkadza mu to jednak być genialnym w swej twórczej działalności, a szczęśliwym w życiu. Oprócz Homera bowiem i Shakespeare'a żadne może imię nie było tak często na ustach całej cywilizowanej ludzkości, jak Wiktora Hugo, a oprócz niego żaden inny poeta nie doczekał się tej nieśmiertelności bogów za życia, tego faktycznego wywyższenia nad tłum, tego uwielbienia całego niemal narodu, tego poddania się umysłów, które mimowolnie nachyliły się w stronę, może niejednakowo równo, ale chwilami oślepiąco błyszczącej gwiazdy francuskiej literatury, — tego powszechnego ubóstwienia, które pochłonęło w sobie pojedyncze razy zastrzeżeń i podkreślań na zimno rozumującej krytyki.

Nie król to w nagrodę osobistych zasług

wyniósł go na pierwszego ministra, nie roznamietniona to tłuszcza oddała mu dyktaturę nad swoim losem i życiem, ale cały naród przez swych wybranych wręczył mu laurowy wieniec uznania i postawił go na ołtarzu geniuszów, co w dzisiejszych czasach uwielbienia dla materyalnej i tylko materyalnej siły jest faktem niesłychanej doniosłości. Jakkolwiek bowiem wielkim byłby geniusz Wiktora Hugo i czar jego literackich utworów dla mas, masy w osiemdziesiąt rocznicę jego urodzenia przyszedł skłonić się nie tyle przed geniuszem i czałem liryzmu, ile przed użytkiem, jaki on robi ze swego słowa i całego życia.

„Potomność — pisze Ludwik Blanc — nie powiedzialaby o Wiktorze Hugo wszystkiego, mówiąc, że był niezrównanym poetą; że w świecie literackim wspiał się na najwyższe wyżyny; że we wszystkich rodzajach: powieści, dramacie, poezji lirycznej, poezji lekkiej, wymowie, zrobił sobie miejsce, które wiecznie zostanie jego własnem; że odnowił język, oswobadzając go od fałszywej arystokracji słów; że zbudował nową sztukę i otworzył literatom swojego czasu drogę, po której najwięcej obdarowani uważają sobie za honor iść za nim; że nigdy pisarz nie miał oryginalności bardziej potężnej, nie był groźniejszym i słodszym, nie mówił do dzieci z czułością bardziej wzruszającą i nie posługiwał się pewniej biczem satyry, nie widział natury w obrazach kolosalniejszych i nie malował jej w żywszych barwach, nie zaszedł dalej w głębie ludzkiej duszy i przez zetknięcie okrutnego z wdzięcznem, wzniosłego ze śmiesznem — nie wydstał kontrastów z większą wydatnością. Nie, gdyby to wszystko było powiedziane, zostałoby się do opowiedzenia to, co on zrobił, i to nie będzie najmniejszy tytuł do uwielbienia go przez potomność.“

I to prawda, prawda tak widoczna, że przepowiednia wielkiego myśliciela Francji już dziś się spełniła. Ta potomność Wiktora Hugo, o której mówi Ludwik Blanc, przyszła złożyć hołd nie przed zalecaniami stylu ani poetycznemi obrazami twórcy *Hernani*ego lub *Kar*, lecz przed czło-

wiekiem, przed uosobioną cnotą, przed wielonem pocuciem sprawiedliwości. „Jest że w istocie — mówi dalej Ludwik Blanc — jedna szlachetna myśl, którejby on nie podjął, jedna słuszna sprawa, z którąby się nie zespolił, jedna wielka niesprawiedliwość, której by się nie starał zapobiedz, jeden czyn okrucieństwa, przeciwko któremu by on nie podniósł głowy, jeden uciśniony naród, którego by nie bronił?...“ Pomijając bowiem mistycyzm, w którym pływa jego filozoficzna, religijna lub etyczna myśl, myśl ta zawsze staje po stronie nieszczęśliwych, oddaje się na usługi dobrej, szlachetnej i uczciwej sprawy.

Przebieżmy choć w krótkości jego czynną działalność jako człowieka. Na Guernesey jakiś nędznik został skazany na śmierć: Wiktor Hugo pisze w obronie skazanego słowa, które poruszyły do głębi całą Europę i podkopały barbarzyńskie prawo możności zabijania człowieka przez człowieka.

Na Jersey, miejscu swego wygnania za czasów drugiego cesarstwa, rząd angielski wydał rozkaz wydalenia z wyspy trzech republikanów. Wiktor Hugo, oburzony krzywdą wygnańców, każe się wydalić wraz z nimi.

Kiedy Ameryka skazała na śmierć Johana Brown za usiłowanie oswobodzenia niewolników z Wirginii, Wiktor Hugo za pośrednictwem wszystkich dzienników europejskich rzucił Ameryce te wielkie słowa: „Coś bardziej strasznego niż Kain zabijający Abła, to Washington zabijający Spartakusa!“ Kilkoma wierszami z dziewięciu skazanych na śmierć w Charleroi ocalił siedmiu, i stał się obrońcą z urzędu wszystkiego co biedne, słabe, nieszczęśliwe i uciśnione, bądź to w jednostkach, bądź w masach, bądź przez jednostki, bądź przez masy. Nieszczęście ma dla niego jakiś nieprzeczwyciężony pociąg, a słabość, moralna czy fizyczna, porusza go do głębi jego duszy. W złem widzi on jedną stronę i kto wie, czy nie najważniejszą — odpowiedzialność społeczną:

— „Winowajcy byli dla mnie tylko świadkami.“

nie może on zaspokoić najmniejszej cząstki słusznych żądań świata. Jak może wymagać zyczliwego pobłażania, gdy nie kocha nikogo, bo całą sumę swego serca oddał jednej istocie? Dusza jego jest wodną pustynią; daremnie miłosierdzie wysła swęgo gołąbka — nie wraca on z listkiem oliwnym, świadczącym, że znalazł coś stałego, żywego.

Zazdrość jest jedyną boleścią straconą, jedynem w całej naturze bólem, po którym nie następuje poród. Choroby wzmacniają ciało, ubóstwo prowadzi do czynu i bogactwa, głupota uczy rozsądku, burza zapładnia, klęski od piorunu oplacają się dobrze, u stóp ognistych wulkanów bujne zielenią się pola. A jeśli są nieszczęścia, którym nie dobrego nie towarzyszy, to przynajmniej pamięć przebytej niedoli jest zawsze siostrą radości. Lecz zazdrość — to obłoki bez nieba, za niemi kryje się straszliwe nic. Nie wzmacnia sił, nie uczy rozsądku, nie poprawia, nie oczyszcza, nie zyskuje miłości obcych, nie uwalnia od własnej, a jeśli się kończy, to kończy się wraz z miłością i serce osiąga tylko spokój grobu. A jakżeż smutnem jest wspomnienie tej męczarni! Cierpiący jest jak rozbitek

na piaszczystym brzegu morza; życie uratował, ale statek, na którym było całe jego mienie, pochłonęły fale. Jak nagi żebrak włóczy się po świecie.

Dlaczegoż łagodna i uczciwa kobieta, która ten straszny ból wywołuje, jest tak na niego nieczuła? Kobieta stanowi wiadokrag ludzkości, w którym się niebo styka z ziemią. Anioły i dyabły godzą się w niej, jak nigdzie. Najczulsza, najszlachetniejsza otrzymała z piekła jeden co najmniej kocioł węgla, a nie ma takiej, któraby w swem sercu nie posiadała małego kącika raju. Niedaleko od jej najwyższej godności znajduje się najniższa podłość.

Przypatrzcie się królowej na złotym tronie, ma ona pod nogami stołeczek z nędznego drzewa. Trzeba ją nienawidzić, ażeby nie kochać, gardzić, żeby nie ubóstwiać, panować nad nią, żeby się nie stać niewolnikiem. Miłość jest dla niej wędką, która ją żywi i bawi. Wielkie ryby zabija, z małemi igra. Niema nic śmieszniejszego, jak zakochany mężczyzna; złota rybka w kloszu z wodą jest jeszcze stosunkowo wzniosłym widokiem. Bezustannem dążeniem kobiet jest budzenie miłości. Chciałyby one, aby księżyc miał

serce i niemi je zapełnił. Ale na podobieństwo bohaterów, szukają tylko walki a gardzą zdobyczą. Nie to serce szanują, które się im oddaje, lecz odporne. Dlatego też zazdrośny nie może liczyć na współczucie; on już załatwiony. Obojętny zajmuje wszystkie ich zmysły, siły i życzenia; nie mają łez dla ran, które zadały, ale całują ręce, które je zraniły. Podlewają i hodują drzewa do jesieni, a zazdrość jest przejrzalym owocem miłości. Pozbawione liści serce zostaje porąbane, a piękne ogrodniczki ogrzewają w zimie tem drzewem swe pokoje. Jeśli chcecie zdobyć ich miłość, ukrywajcie swoją; jeśli chcecie zabezpieczyć się przed zazdrością, wywołujcie ją. Postępujcie jak podróżni w gorącej Afryce. Gdy spotykają drapieżne zwierzęta, padają na ziemię i wstrzymują bicie serca; tygrysy nadchodzą, liżą pozornych trupów i nie im nie zrobiwszy, idą dalej. Kochający młodzieńcy! wstrzymujcie bicie serca — kobiety będą was całowały i nie rozedrą.

Dla ukaranych i sponiewieranych żąda rehabilitacji, wołając:

—..., Zrehabilitowałem

„Wszystkich ludzkich skazańców, Triboulet'a, Marion,

„Lokaja, złoczynię i prostytutkę...”

Kobietę ze służki, z narzędzia powolnego mężczyźnie, starał się podnieść do godności towarzyski, spółniczkę jego uczuć, miłości i swobód. Z upadłych zrobił ofiary, z pożałowanych — nieszczęśliwe.

Los dzieci, tych niewinnych istot pokutujących za grzechy rodziców, a więcej jeszcze pokrzywdzonych przez towarzyski konwenans i kodeks, był zawsze najdroższym jego sercu.

Słowem, obrona nieszczęścia i żądanie sprawiedliwości, stały się jego obowiązkiem, któremu on nigdy i nigdzie nie skreślił, tak dobrze w czynie jak i w słowie, w chwilach swego własnego nieszczęścia jak i u szczytu dzisiejszej chwały.

Takiemu to człowiekowi Francya złożyła hołd w dniu jego osiemdziesiątletniej rocznicy urodzin. Niech będzie mu cześć i sława, na jakie prawem, nieskazitelnym życiem, szerokim umysłem i wielkim sercem sobie zasłużył!

Antoni Sygietyński.

MYŚLI HUXLEYA

o znaczeniu języków starożytnych i nauk przyrodniczych w wychowaniu i cywilizacji¹⁾.

Szkola, oparta na naukach przyrodniczych, ma nadzwyczajne znaczenie dla społeczeństwa XIX wieku. Przybliża ona stanowcze rozstrzygnięcie walki o wychowanie. Walka ta trwa od bardzo dawna i nie ustaje dotychczas. W przeszłym stuleciu ścierali się z sobą zwolennicy literatury starożytnej i nowoczesnej; od lat dopiero trzydziestu wystąpiła na pole niewielka drużyna, stojąca pod sztandarem nauk przyrodniczych.

Z chwilą wystąpienia pierwszej wzmianki o wprowadzeniu nauk przyrodniczych w zakres zwyczajnego wychowania, wyznawcy tej reformy spotkali się z dwójką opozycją: z jednej strony poczęli im urągać „fachowi specjaliści,” którzy dumnie uznają się za przedstawicieli „praktycznego kierunku;” z drugiej rzucili na nich kłutwę uczeni klasycy, uważający się za lewitów, postawionych na straży skarba cywilizacji i za monopolistów wychowania literackiego. Pierwsi należą już do przeszłości a czyste typy tego rodzaju prawie już całkiem wyginęły; drudzy niezawodnie ulegną także.

Zazwyczaj utrzymywano i utrzymują jeszcze, że nauka o przyrodzie niezdolna jest wytworzyć cywilizacji, że nie dotyka ona „wyższych celów życia,” a głównie, że ciągle zajmowanie się badaniem nauk przyrodniczych wytwarza ciasne i jednostronne przekonanie o zastosowalności tej

metody do wysłedzenia prawd wszelkiego rodzaju. Mamże rozprawiać się tu z tego rodzaju opozycją? Raczej poświęcę słów kilka kwestyi, którą i dziś postawić nam tu mogą: że wykluczenie z nowo utworzonego zakładu wychowania czysto literackiego służy za dowód ograniczonosci naukowego poglądu. Nie znam przyczyn, które skłoniły założyciela zakładu do takiego zastrzeżenia; jeśli wszelako pod wyrazem „wychowanie czysto literackie” rozumiemy zwykłe kursa klasyczne angielskich szkół i uniwersytetów, to niepodobna nie uznać zasadności ich wykluczenia.

Trzymam się niewzruszenie tych dwóch przekonań: pierwsze, że wychowanie klasyczne ani ze względu na podniecaną przez nie działalność umysłową, ani ze względu na przedmiot zajęcia nie posiada takiej bezpośredniej wartości dla studyującego nauki przyrodnicze, któraby wynagradzała stratę czasu; drugie, że wychowanie oparte wyłącznie na naukach przyrodniczych, jest co najmniej równie pewnym środkiem osiągnięcia prawdziwej cywilizacji, jak i wychowanie wyłącznie literackie. Zaledwie potrzebuję nadmienić, iż pogląd ten, zwłaszcza druga część jego, jest wprost przeciwny przekonaniu większej części wykształconych ludzi, zostających pod wpływem tradycji szkolnych.

Wedle określenia Arnolda „cywilizacja jestto poznanie wszystkiego dobrego, co byłopomyślane i wypowiedziane w świecie;” jestto zawarta w literaturze krytyka życia. Krytyka ta uznaje Europę — pod względem umysłowym i duchowym — za wielką konfederację, połączoną dla wspólnej działalności i pracującą dla wspólnego celu; wszyscy członkowie tej konfederacji są jednakowo przygotowani: znają starożytność grecką, rzymską i wschodnią i znają siebie nawzajem. Nie biorąc na uwagę specjalnych właściwości miejscowych i czasowych, ten naród wyprzedza inne w rozwoju umysłowym i duchowym, który lepiej od innych czyni zadość wskazanemu programowi. Znaczy to, że i każda jednostka tem dalej posuwa się naprzód, im lepiej program ten wypełnia!

Mamy więc tu dwa rozliczne twierdzenia: wedle pierwszego krytyka życia stanowi istotę cywilizacji; wedle drugiego literatura daje materiały dostateczne do wytworzenia takiej krytyki.

Nikt, sądzę, nie powstanie przeciw pierwszemu twierdzeniu; cywilizacja jest niezaprzeczenie rzeczą odrębną od uczoności i technicznego wydoskonalenia. Ona dać powinna pełną teorię życia. Z tem wszystkim zgodzić się trzeba, lecz zarazem stanowczo się sprzeciwić twierdzeniu, że w samej tylko literaturze zaczerpnąć można tyle poznania. Z tego, żeśmy się nauczyli wszystkiego, co myślała i co wypowiedziała starożytność grecka, rzymska i wschodnia, co nam opowiadają literatury późniejsze, nie wypływa bynajmniej, żeśmy tem samem położyli już dostateczną podwalinę do urobienia sobie krytyki życia t. j. podwalinę cywilizacji.

Badając postęp nawet tylko w sferze umysłowego i duchowego rozwoju, nie mogą żadną miarą przyznać, aby narody lub

jednostki mogły postępować naprzód, jeśli nie przyswoiły sobie znajomości nauk przyrodniczych.

Wybitnem znamieniem naszego czasu jest nieustający wzrost znaczenia przyrodoznawstwa. Nietylko odeiska ono piętno swoje na stosunkach codziennych, ale od niego zawisł dobrobyt milionów ludzi, a cała nasza teoria życia poddała się, świadomie lub nieświadomie, pod wpływ ogólnych pojęć o wszechświecie, jakich nam dostarczyły nauki przyrodnicze. Nawet powierzchowna znajomość tych nauk wystarcza do przekonania się, jak rezultaty badań przeczą tym twierdzeniom, w które tak silnie przodkowie nasi wierzyli. Pojęcia naszych pradziadów o początku i końcu świata już się dziś utrzymać nie mogą. Nie ulega już wątpliwości, że ziemia nie jest głównem ciałem wszechświata, i że świat nie jest stworzony dla wygody człowieka. Wiemy, że natura jest wyrazem określonego, ničem nienaruszalnego porządku, że nakońiec zbadanie tego porządku i odpowiednie skierowanie się stanowi główne zadanie ludzkości. A dalej, cóż to za pouczającą krytykę życia czerpiemy z dowodów wprost przeciwnych dawnym wierzeniom. Krytyka ta nie powołuje się na powagi, nie opiera się na tem, co ktoś powiedział, lecz zwraca się prosto do przyrody. Przypuszcza ona, że wszystkie nasze objaśnienia zjawisk natury są mniej lub więcej niedokładne, ale przez to pobudza tylko uczoność do szukania prawdy nie w słowach, lecz w rzeczach. Ostrzega nas, że sądzić o czemś poza obrębem widoczności jest nie tylko błędem, lecz i występkiem.

Wychowanie czysto klasyczne, jak je chcą mieć współcześni przedstawiciele humanitaryzmu, nie daje na to wszystką żadnego poglądu. Człowiek, wykształcony wedle tego systemu, może być uczciwszym aniżeli Erazm i pozostać w takiej jak on nieświadomości co do przyczyn ruchu umysłowego w naszych czasach. Niezaprzeczenie uczeni ludzie tej szkoły, godni wielkiego szacunku, okazują nieraz zupełną nieznajomość podstawowych zasad badania naukowego, nieumiejętność zrozumienia tego, co uczony nazywa prawdą, zupełnie niepojmowanie znaczenia niezaprzeczalnych zdobyczy naukowych...

Epokę odrodzenia nazywają często okresem ożywienia literatury; jak gdyby wpływ który podziałal wówczas na umysły zachodniej Europy wyczerpywał się całkowicie w dziedzinie literackiej. Mnie się zdaje, że przytem zapominają zwykle, iż tenże wpływ wywołał wtedy ożywienie także ruchu naukowego, może mniej widoczne, lecz niemniej znaczne. W rzeczywistości niewielu rozrzuconych po różnych krajach badaczy przyrody w owe czasy pochwyciło nie jej tajemnicę, w tym samym stanie, jakim ją przed lat tysiącem upuścili greccy. Ci greccy tak wyłożyli zasady matematyki, że nasze dzieci uczą się geometrii według książek napisanych dla uczniów aleksandryjskich przed dwoma tysiącami lat. Nowa astronomia jest naturalnym rozwojem prac Hiparcha i Ptolomeusza; nowa fizyka jest tem samem wobec fizyki Demokryta i Archimedesza; potrzeba też było dużo czasu na to, aby nowa biologia przeszła po za granice wiadomości, przekazanych nam

¹⁾ Jest to streszczenie mowy, wypowiedzianej przy otwarciu w Birmingham szkoły, założonej przez bogatego przemysłowca angielskiego z celem dostarczenia wychowankom wiedzy praktycznej.

przez Arystotelesa i Teofrasta. Niepodobna więc zrozumieć zupełnie myśli i przekonań greków, nie znając ich pojęć o zjawiskach przyrody. Jakże ocenilibyśmy ich krytykę życia, nie wiedząc, o ile na nią wpłynęły naukowe pojęcia? Fałszywie uważalibyśmy się za spadkobierców ich cywilizacji, jeśli się nie przejmujemy tem przekonaniem, tą niewzruszoną wiarą, którą już znakomitsi mężowie Grecji wyznawali: że tylko swobodne działanie rozumu, wsparte naukową metodą, prowadzi do poznania prawdy.

Tym sposobem dochodzę do wniosku, że nasi humaniści powinni by umiarkować nieco swoje pretensje do wyłącznego dziedziczenia ducha starożytności, a może nawet wyrzec ich się całkiem.

Niechciałbym jednak, aby mnie po tem, co powiedziałem, podejrzewano o chęć dyskredytowania nauk klasycznych. Przyrodzone człowiekowi zdolności bywają rozmaite, równie jak okoliczności do zastosowania ich pomysły. Nadto, jakkolwiek cywilizacja jest jedna, drogi, po których dościga ją łatwiej jeden człowiek, różnią się wielce od dróg, po których dogodniej dążyć do niej drugiemu. Wykształcenie zresztą naukowe znajduje się obecnie dopiero w stanie początkującym, jest niejako uważane za doświadczenie, — podczas gdy wychowanie klasyczne przedstawia się w zupełności zorganizowaniem przez praktyczne próby licznych pokoleń pedagogów. Dla tego to sądzę, że młody anglik, jeśli swobodnie rozporządza swoim czasem i przygotowuje się do zwykłego życia społecznego lub do pracy literackiej, może i teraz odebrać wykształcenie w naszych zwykłych szkołach a niedostatki tego wychowania wypełnić później własną pracą. Dla tych jednak młodzieńców, którzy chcą się poświęcić nauce, lub zostać np. lekarzami, lub wreszcie sposobią się do zawodów fachowych, — wykształcenie klasyczne jest, mojem zdaniem, drogą stanowczo błędną.

Ten wniosek praktyczny kończy właściwie uwagi Huxleya, dotyczące samej kwestyi wykształcenia klasycznego i realnego, któreśmy tu pobieżnie w konturach tylko skreślili. Dalej uczony dotyka stosunku nauki do rękodzielnictwa i przemysłu — potrąca o tak ważne dziś względy społeczne, i wypowiada przytem myśli, których — mówiąc już o sprawie wychowania naukowego — pominąć nie możemy.

Nie zawadzi pamiętać — są słowa mówcy — że dobroczynne skutki przemysłu zależą nie tylko od udoskonalenia procesów fabrycznych i uszlachetnienia charakteru osobistego jednostek; wchodzi tu jeszcze czynnik trzeci, a mianowicie: jasne pojmowanie społecznych warunków życia tak ze strony kapitalistów jak pracowników i zgodna jednomyślność ich względnie do podstaw socjalnej działalności. Powinni oni wiedzieć, że zjawiska społeczne, na równi z wszystkimi innymi zjawiskami, są wyrazem praw natury, i że żadne porządki socjalne nie mogą być trwałe, jeśli się nie zgadzają z prawami społecznej statyki i dynamiki; że w samej naturze rzeczy kryje się sędzia, którego wyroki same przez się wprowadzają się w wykonanie. Takie poznanie nabywamy za pomocą zastosowa-

nia używanych w fizyce metod badania do badań zjawisk socjalnych. Dla tego zaleca Huxley, aby wyborny plan nauki ustanowiony dla kolegium Massona, uzupełniony został wykładem socjologii. Jakkolwiek — powiada — wszyscy zgadzamy się na to, że stronnictwa polityczne powinny być usunięte od wpływu na naukę w szkołach, to przecież — zwłaszcza w kraju rządzone przez powszechne głosowanie — każdy człowiek pełniący swoją obywatelską powinność nie może się wyrzekać i swoich politycznych obowiązków. Jeśli można przeciwdziałać złemu, jakie bywa nieodłącznem od dobrych stron politycznej wolności; jeśli możliwem jest na miejsce wiecznego chwiania się narodów między anarchią a despotyzmem, postawić trwałe pochod wstrzemięźliwej swobody — to urzeczywistni się cel ten tylko wtedy, gdy ludzie stopniowo przywykną do obchodzenia się z kwestyami politycznymi tak jak z kwestyami nauki; gdy na jednym i drugim polu zarówno będą się wstydzili zbytniego pospiechu i uprzedzeń stronnich; gdy się przekonają, że mechanizm społeczeństwa jest co najmniej równie skomplikowany jak mechanizm np. maszyny prężalnej i że go naprawiać nie można przez mieszanie się ludzi, którzy sobie nie zadali trudu, aby zbadać zasady jego działania.

TAJEMNICE ŻYCIA DUSZY.

V.

„Że w przyrządach nerwowych — odpowiada na to pytanie Siechenow — w stanie utajenia przebywają dźwięki i obrazy, nie jest mrzonką... Gdyby wrażenie rzeczywiste kończyło się zupełnie wraz z usunięciem zewnętrznego substratu (bodźca, który je wywołuje w organizmie) wtenczas nie było-by co odtwarzać... Chodzi tu o pamięć, to jest o tę nieznaną psychologom ¹⁾ siłę, która jest podstawą psychicznego rozwoju człowieka. I rzeczywiście, gdyby nie było tej siły, każde wrażenie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, za milionowym nawet razem swego powtórzenia się powinnyby dawać się uczuć tak, jak i po raz pierwszy... W ogólności wszelki rozwój psychiczny byłby niemożliwy... Wrażenie (powtarzając się) za każdym razem staje się coraz wyraźniejsze... Pomimo nieobecności wyraźnego pocucia, nie należy wnioskować, aby stan pobudzenia nerwu kończył się wraz ze zniknięciem bodźca (w tekście czytamy „wrażenia“, ale jest to tylko nieścisłość języka)... Przez częstsze powtarzanie wrażenie staje się coraz wyraźniejszym, a przeto przechowanie go w stanie utajonym bywa daleko trwalsze (?). Utajony ślad przechowuje się coraz dłużej i wrażenie trudniej znika... Dalsze cechy pamięci, wypływające z głównej — prze-

chowywania wrażeń utajonych, polegają na tem, że pamięć trwalszą jest dla wrażeń silnych i wyrazistych, aniżeli dla słabych; dla tego bywa tem mniejszą (to jest mniej wyraźną i świadomą) im świeższe było wrażenie realne... Czemże jest akt odtwarzania zjawisk psychicznych? Jest to tak samo realny akt pobudzenia centralnych nerwowych przyrządów, jak pierwsze lepsze psychiczne wyobrażenie, wywołane rzeczywistym wpływem zewnętrznym, działającym w danej chwili na organa zmysłów“ ¹⁾.

Przytoczyłem tu kilka ustępów z pracy jednego ze staranniejszych badaczy tego przedmiotu, ażeby okazać czytelnikowi, w jaki sposób teoria fizyologiczna pamięci, którą uważam za niezdolną do wytłomaczenia tej kategorii zjawisk, ze sprawą tą się załatwia. Siechenow dowodzi, nie porachowawszy się z trudnościami, jakie starałem się zebrać w niniejszej pracy, że „wrażenia pozostają w przyrządach nerwowych w utajonym stanie“, czyli — innemi słowy — że przyrządy nerwowe jakoby pozostają niezmiennie przez całe życie pewnego danego organizmu. Taki przynajmniej musi być wniosek z jego nauki, — wniosek, który w poprzedniej mojej pracy *O pamięci* starałem się obalić. Wyrażenie to, że „wrażenia pozostają w nerwowych przyrządach w stanie utajonym“, że — jak powiada Benecke — pozostawiają po sobie ślady, jest najzupełniej fałszywe i dla tego powinno zostać usunięte raz na zawsze z pola badań psychologicznych, jako wprowadzające w błąd samych badaczy tej ważnej kwestyi. Bo i do czego prowadzi twierdzenie Siechenowa? Jeżeli w przyrządach nerwowych, które składają się z komórek nerwowych, pozostają wrażenia w utajonym stanie na długo, a czasem i na zawsze — nerwy nie są nerwami, ale czemś innem, nam najzupełniej nieznanem. Wrażenie pozostaje, a nerw ginie i obumiera. Dla czegoż wraz z nim nie ginie wrażenie? Jeżeli zaś wrażenie pozostaje, a nerw rozkłada się i oddala z organizmu, więc wrażenie pozostawało nie w nerwowych przyrządach, lecz w czemś innem. W czem-że więc? — oto pytanie, które musimy pozostawić bez odpowiedzi.

Jeżeli cząstki nowe, z których się tworzą nowe komórki nerwowe, zajmując miejsca opuszczone przez zużyte cząstki nerwów upodobniają się do otoczenia, znaczy to, że przybierają muszą pewną nową postać, że otrzymują nową formę, pewną nową budowę. Napotykam tu kwestyę morfologiczną, kwestyę budowy i zależnych od niej funkcji. Lecz kwestya ta morfologiczna jest w gruncie kwestyą pamięci organizmu. Różnorodne zewnętrzne wpływy na organizm zmuszają go do zastosowywania się do otoczenia, zmuszają go do pewnych, koniecznych w danym razie czynności, np. poszukiwania odpowiedniego mu pokarmu w pewien właściwy mu sposób, poszukiwania schronienia do walki z wrogami i t. p., co wszystko jest przyczyną jego formy, trybu życia, przyzwyczajęń i t. d.; słowem wpływy te są warunkiem, od którego zale-

¹⁾ O ile ta siła znana jest fizyologom, już mówiłem; zresztą będzie o tem mowa jeszcze niżej. Korzystam ze sposobności, ażeby uwydatnić tu tylko ten sposób traktowania zagadnień psychologicznych, jaki właściwy jest fizyologom, nieuwzględniającym zasadniczych różnic, o których już wspominałem nieco wyżej.

¹⁾ Ob. *Odruchy*, wyż. cyt., str. 111, 112, 114, 116, 117 i 127.

ży jego budowa i czynności, oddziałują na potomstwo, to jest stają się dziedziczną o nich pamięcią. A organizm, który zapomina o nich, ginie. Z formą związane są pewne czynności, funkcje organizmu, od funkcji tych znowu zależy sama forma. Tyle tylko o tem wiemy. Jeżeli zaś wpływy, o których mowa, przechodzą z pokolenia na pokolenie, czyż można przypuścić, nawet mając na względzie wszystko wyżej powiedziane, ażeby *wrażenia odebrane kiedyś przez pra-pra-pradziada pozostały w utajonym stanie w przyrządach nerwowych pra-pra-prawnuka?*

Jeżeli trudno nam zrozumieć zjawisko to w stosunku do pewnego (hypotetycznie np. pierwszego, odbierającego wrażenia) organizmu, to stokroć trudniej w stosunku do całych już i licznych pokoleń. A jednak fakt pozostaje faktem, nie rozumiemy go tylko wcale, bo nie posiadamy środków do wytłumaczenia tajemnicy.

Dla wyjaśnienia jej, pewien uczony, Göring¹⁾, ucieka się do hipotezy następującej: „Z komórki, która już posiada pewien stopień dojrzałości, tworzą się komórki-córki (*Tochterzellen*), które odziedziczają w mniejszym lub większym stopniu własności komórki-matki (*Mutterzelle*), a przeto są nieczem innym, jak tylko jej powtórzeniem. Wzrost ten i to rozmnażanie się komórek jest szczególnym rodzajem tych szczególnych funkcji, które są charakterystyczną cechą organicznej materii — funkcji, polegających nie tylko na przemianie i ruchliwości zawarcia samej komórki, ale i na przemianie jej formy, na jej powiększaniu się i samopodziale (*segmentacyi*). W ten sposób reprodukcja funkcji przejawia się także i w postaci reprodukcji samej komórki.“

Postawione w ten sposób pytanie napozór od razu rozstrzyga wątpliwości: wszystko zależy od tego, że komórka dzieląc się na cząstki, w gruncie rzeczy zawsze pozostaje komórką, tą samą, która uległa samopodziałowi, a więc w każdej następnej komórce, bodaj już milionowym potomku pierwszej, zawiera się część pewna protoplastyczna. Wszystko to byłoby tak, gdyby tak tylko było. Jednakże rzecz się ma inaczej. Nie może być mowy o podzielności komórki, której już nie ma, która uległa zniszczeniu, zużyła się i znikła, która przestała wreszcie być komórką. Rozumie to dobrze i sam Göring, gdyż powiada dalej: „daje się to widzieć szczególnie u roślin, których główną funkcją jest wzrastanie, wówczas kiedy w zwierzącym organizmie przeważają *inne funkcje*.“ Ale właściwie to inne funkcje, o których Göring uważa za dostateczne i stosowne powiedzieć tylko to, że są inne, funkcje pracy, połączonej z rozkładem, zużyciem się i śmiercią cząstek, są właśnie stanowczym zaprzeczeniem tej hipotezy, dobrej może dla roślin, wcale nie znaczącej i nie rozstrzygającej w odniesieniu do zwierzęcego i ludzkiego organizmu. Hipoteza może być stosowaną do przypuszczalnych tylko organizmów, ale nie do rzeczywistych, ponieważ życie tych ostatnich — a o nie tu głównie nam cho-

dzi — zupełnie jest odmienne od życia owych hypotetycznych organizmów, których opis znajdujemy u Göringa.

Teorya powyższa i z innych jeszcze względów jest błędna. Bo po 1-sze inne są czynności i tryb życia komórek np. roślinnych lub niższych organizmów (wymoczków), które całe składają się z jednej tylko komórki, — inne zaś całkiem czynność i rola komórek tkanki nerwowej człowieka. Pominąwszy bowiem, że skład już sam tych ostatnich jest różny od składu komórek niższych zwierząt, czynności ich są zupełnie różne. Ostatnie, zdaniem fizjologów, nie posiadają świadomości, nie myślą, nie doznają wzruszeń i uczuć, właściwych ludziom — komórki zaś tkanki nerwowej człowieka spełniają czynności nadzwyczaj liczne i nadzwyczaj złożone; dosyć wspomnieć o tem, że niektórzy w nich upatrują siedlisko świadomości. A jeżeli tylko funkcje są odmienne, z konieczności odmienną być musi i organizacja, oraz odwrotnie. Na tem polega właśnie zasadniczy błąd teorii Göringa i analogie jego są powierzchowne i nieuzasadnione.

Niedosć na tem, bo po 2-re są one w sprzeczności z faktami. Nie uwzględniają wcale antagonizmu, jaki zachodzi pomiędzy procesem wzrastania i czynności, albo raczej działalności a płodnością organizmów. Można przyjąć za pewnik kilka następujących prawd empirycznych, jakkolwiek w przyszłości należy się spodziewać sprostowania każdej z nich w tym lub innym (dziś może nawet niespodziewanym) względzie. Faktem jest, że im większą jest działalność organizmu, tem mniejsza jest jego płodność; im w lepszym (a dla nas nieznanym) stosunku znajduje się ilość pożywienia do ilości pracy, t. j. czynności, wykonywanych przez organizm, tem większa jest jego płodność i odwrotnie, chociaż przy nadmiernym odżywianiu się i tyciu płodność się zmniejsza i nakoniec przechodzi w zupełną niepłodność. „Każdy krok naprzód (to jest każdy stopień rozwoju organizmu) na drodze postępu wymaga poprzednich oszczędności,“ dlatego wielki wydatek na czynności, związane z wysiłkiem, ze stratą energii, ze znizeniem temperatury, zależnej od utleniania się organicznej materii, jest warunkiem nieruchomości, to jest stanu sprzecznego z rozwojem. Tak np. zwierzęta o krwi cieplej są mniej płodne od zwierząt o krwi zimnej — mowa tu głównie o kręgowych, ale za to pierwsze są nieporównanie czynniejsze od ostatnich, to jest ruchliwsze, — siła akcyi jest większa, twórczość mniejsza¹⁾. Oto są fakty, które zgola zaprzeczają teorię Göringa, osnutej wprawdzie na faktach także, ale rozważanych w oderwaniu od warunków, wśród których zmuszony jest żyć i działać żywy organizm. Göring miał na względzie jedną kategorię zjawisk, pominął zaś bez najmniejszej uwagi kilka kategorii innych, wręcz sprecznych jego założeniu. Jeżeli zaś fakta mają nas doprowadzić do pewności, muszą być rozważane tylko łącznie, tylko wszystkie razem, a nie każdy z osobna i bez związku z innymi.

Drugim wnioskiem, do którego wiedzie nas rozbiór zarówno samych procesów psychicznych, jak i teorii fizyologicznych, na drodze wytłumaczenia tych procesów powstałych, musi być uznanie duszy, jako istoty niezmiennej, niepodzielnej, niezależnej od zewnętrznych na nią wpływów, niezależnej w ten sposób, w jaki jest i musi być zależne ciało. Musimy się uciekać do hipotezy, dotyczącej istnienia ducha, bo przypuszczenia materialistyczne prowadzą nas na rozdroża, wśród których błądzimy.

Jeżeli ciało się zużywa i niszczy, jeżeli jest zmienne, należy przypuścić, że, ażeby mogła istnieć pamięć, musi istnieć coś innego od ciała, ale znajdującego się w pewnym z niem związku, niepodobnego, niezmiennego i z natury swej wręcz sprzecznego z niem, o ile to ostatnie i własności jego rozumiemy, — wreszcie coś takiego, co nie ulega zniszczeniu. Ztąd owa dusza musi być czemś najzupełniej nam nieznanem¹⁾ i niezrozumiałem, — bardziej nawet aniżeli samo ciało, o którym tak mało wiemy. Powiedziałem wyżej, że psychologiczny termin: dusza jest symbolem, a chociaż odpowiada pewnej jakiejś realności, w każdym razie realność ta jest zupełnie dla nas niepoznawalną. Symbol ten, czasowy termin, ułatwić nam może rozumowanie tylko względnie. Jeżeli bowiem dusza jest tą sferą, w której zachodzą psychiczne zjawiska, a zarazem tym czynnikiem, dzięki któremu zachodzą te zjawiska, w takim razie jakąż jest rolę ciała? jaką czynność spełniają nerwy i mózg? i czy wreszcie ta ostatnia jest w jakimkolwiek stosunku do czynności duszy, czy nie, — to jest czy dwie te czynności są w koniecznym ze sobą związku, czy koniecznie muszą być drugie towarzyszyć, — czy też tylko łączy je ze sobą jedynie współczesność przy zupełnej ich od siebie niezależności? Bo być może, przyjąwszy jako pewnik ten konieczny związek, popełniamy, nie przeczuwając nawet tego, błąd, widząc *post hoc, ergo propter hoc* lub *cum hoc, ergo propter hoc* tam, gdzie tego zgola niema. Pytania te są pierwszorzędne znaczenia i uwagi i ze wszech miar zasługują, a nawet wymagają od nas tego, na rozbiór²⁾.

(Dokończenie nastąpi).

Feliks Bogacki.

¹⁾ W wywodach autora, zdaniem naszym, zachodzi sprzeczność. Bo jeżeli dusza „jest czemś najzupełniej nam nieznanem,“ to 1) skąd wiemy, że ona jest a 2) że jest „niezmienna, niepodzielna, niezależna od wpływów zewnętrznych?“ Według naszego przekonania, ta sfera zjawisk, którą pospolicie nazywamy duszą, ani nie jest nam „najzupełniej nieznaną,“ ani też na tyle znaną, ażebyśmy rzec mogli, że stanowi „istotę niezmienną i niezależną od wpływów zewnętrznych.“ (*Red.*)

²⁾ Byle tylko nie w sposób praktykowany przez filozofię niemiecką. Nikt więcej nie sprawił szkody, w tym kierunku nad Hegla np. i późniejszych niemieckich filozofów, takich znów jak Benecke, dla których wszelkie morze zdawało się być tylko po kostkę, a którzy nie rachując się ze słowami, stworzyli naukę, której często sami nie rozumieli.

¹⁾ Ob. broszurę jego *O pamięci, jako powszechnej funkcji organicznej materii*, wydaną (zdaje się) w 1870 roku.

¹⁾ Patrz *Zasady Biologii* Herberta Spencera, tom 2-gi, cz. VI, VIII, § 350, § 354 i 355, rozdz. X. § 864, rozdz. XI. § 348, rozdz. VIII. § 347, rozdz. VIII.

PIŚMIENICTWO POLSKIE.

Dla Zagrzebia, Album Koła Literackiego we Lwowie.

Chociaż literatura i sztuka nie opływają u nas w bogactwo a nierzadko wiodą chudopacholskie życie, jednakże filantropia czerpie z ich skarbnicy stosunkowo więcej aniżeli z kas magnackich i bankierskich. Dzięki tej ofiarności pracowników pióra i atramentu, ukazała się we Lwowie nowa książka zbiorowa, która ratując kroackich pobratymców, dotkniętych klęską trzęsienia ziemi, przynosi piśmiennictwu naszemu równiankę literacką, uwitą ze skromnych kwiatów i ziela.

Chcąc zachować porządek wśród ułożonych z albumową przypadkowością trzydziestu trzech płodów literatów i uczonych lwowskich, musimy mówić o nich grupami, zaczynając wedle dawnej tradycji od królowej nauk. Pana Ochrowicza powieściowo-symboliczna legenda: „Istota bytu“ nie ma wprawdzie ściśle naukowej wartości, ale jest wcale oryginalnym arabskiem filozoficznym. Widzimy tu uosobionego w postaci mędrca indyjskiego Jaynavalkya ducha metafizyki, która przez trzydzieści wieków kusila się o rozwiązanie zagadek bytu. Jaynavalkya idąc drogami wiodącymi do wiedzy o istocie bytu, spotyka się z całym szeregiem filozofów wszystkich epok i czasów, którzy mu dają najroźniejsze odpowiedzi, aż nareszcie zobaczył dzisiejszych „budowniczych gmachu wiedzy ścisłej“, którzy w pokorze ducha oświadczyli, że nie wiedzą, co to jest istota bytu i świata, tylko znają prawa rządzące zjawiskami. Słyszac to Jaynavalkya, padł i skonał, a na jego nagrobku przyjazne ręce napisały: „umarł, lecz nie zginął.“ Wlekącej belletrystycznej formie p. O. wyraził tu pogląd najnowszej filozofii, która szanując szlachetne i wysokie myśli, dążenia metafizyki — skazała ją na śmierć czasową z nadzieją zmartwychwstania. Z dziedziny psycho-fizjologii p. Kozłowski skreślił notatkę „O Temperamentach“, streszczając najnowsze poglądy naukowe na istotę ludzkich usposobień. Jest to dobrze opracowany rozdział popularnego podręcznika.

Z dziedziny nauk przyrodniczych jeden tylko p. Radziszewski dał kilkudziesięcio-wierszowy urywek: „Czego potrzeba chemii“, w którym wykazuje potrzebę gruntownego zbadania praw statyki i dynamiki chemicznej, oraz podciągnięcia ich pod prawa teoretycznej mechaniki, zaznaczając potrzebę wynalezienia jednostki miary ruchu chemicznego.

Z dziedziny agronomicznej kilka przelotnych uwag: „O ważności lasów“, rzucił p. Henryk Strzelecki, który jako dyrektor szkoły gospodarstwa leśnego mniemał, że sam tytuł nada wartość kilku oklepanym frazesom, zbywającym kwestyę ogromnej dla kraju doniosłości.

Wśród artykułów treści społecznej i ekonomicznej najdzielniej napisanym jest p. Alf. Zgórskiego: „Nędza najobfitszym źródłem dochodu“, w którym autor jasno a dosadnie ukazuje przyczyny wzmaganiania się potęgi kapitałów, wyzyskującej niepowodzenia pracy i klęski społeczne, wysysającej ostatnie soki producentów i robotników, ostrzegając przed katastrofą, dziejową, której nie chcą przewidzieć społeczeństwa kierowane dłonią wsteczników, pomijające najważniejsze zagadnienia socyalne.

Najbliżej związanym z treścią wydawnictwa jest p. Bilińskiego ciekawy szkic ekonomiczny: „Trzęsienie ziemi i konjunktury gospodarcze“, w którym autor przedstawił szereg zmian i skutków wywołanych przez katastrofę zagrzebską w stosunkach przemysłowych, handlowych i finansowych. Szkoda tylko, że zbytek optymizmu podyktował autorowi poglądy, w świetle których trzęsienie ziemi przedstawia się nie jako klęska, ale dobrodziejstwo dla ludzko-

ści. Z dziedziny finansowej mamy specjalną, najeżoną cyframi notatkę p. Goldmana Bernarda: „Kapitał akcyjny wiedeńskich instytucji finansowych.“

Jednym z ciekawszych artykułów zbioru jest d-ra Roszkowskiego: „O projektach kodyfikacji prawa wojny“, „przedstawiający jasno a pouczająco czynne usiłowania komisji i korporacji prawniczych, które podjęły doniosłą kwestyę złagodzenia okropności wojny i ujęcia w pewne prawne normy tego, co właśnie dotąd było zwycięstwem siły nad prawem. Wartość jasno wypowiedzianych ogólników posiada fragment dr. Kleczyńskiego: „Znaczenie ludności dla państwa“, wykazujący dość pobieżnie ważność statystyki dla mężów stanu, kierujących nawa państwowego losu na morzu dziejowym. Dziejowe i okolicznościowe zarazem znaczenie posiada praca p. Baranowskiego: „Etnograficzne i językowe podróznika szlaskiego z XV wieku, chociaż autor nie umiał wybrać najbardziej ciekawych rysów z jego dzieła, podając parę mało znaczących drobiazgów. Kartką z dziejów rycerstwa polskiego jest d-ra Prohaski: „Wyzwanie na pojedynek w XV wieku“, świadczące, że średniowieczne pojęcia dla dam i u nas były obowiązujące. Kl. Kanteckiego szkic: „Pani starościna Rawska“, podaje pewne szczegóły w kwestyi stanowiska kobiet naszych w pierwszej połowie XVIII wieku, a dr. Kętrzyńskiego: „Czartowiec i Hartowiec“, jest drobnym okrucem, spadłym ze stołu archiwalnego szperacza.

Barwnie skreślonym urywkiem z dziejów starożytnej cywilizacji jest p. Ćwiklińskiego: „Attalidzi i literaci w Pergamon.“ Z powodu najnowszych odkryć starożytniczych, dokonanych w tym małoazjatyckim świecie, p. Ć. podał ciekawy opis rozwoju tego państewka wyrosłego na gruzach monarchii macedońskiej, będącego w II wieku przed Chrystusem jednym z głównych siedlisk helleńskiej kultury.

Pedagogikę reprezentuje jeden bardzo żywo i z wawo napisany artykuł p. Z. Sawczyńskiego, który zastanawiając się nad tem: *Czego w naszych czasach żądają od szkoły ludowej i jej nauczycieli*, trafnie sztydzi z przesadnych wymagań, jakie teoretycy i socjologowie różnego kalibru stawiają szkole ludowej, chcąc naukę początkową przeciążyć balastem zbytecznych wiadomości, z których drobne tylko okrucy, albo bezładne strzępki zostają w myślach młodzieży.

Cennym przyczynkiem do dziejów literatury ojczystej jest prof. Małeckiego praca: „Filomaci w Wilnie“, podająca może suchą, ale krytyczną i szczegółową wiadomość o zawiazku jednego ze stowarzyszeń młodzieży wileńskiej, wśród której wyrósł potężny przodownik i twórca naszego romantyzmu. Teolog, dobrowolnie służący literaturze świeckiej ks. Jan Siemiński, pracujący obecnie nad zyciorysem największego poety naszego, bardzo sympatycznie opisał *część cudzoziemców dla Mickiewicza*. Jest to zebranie faktów znanych, ale opisanych ciepło, barwnie, składających się na całość bardzo miłą dla każdego, kto tylko ceni chwałę narodowego poety. O zadaniach i celach nowej literatury mówi dość ładnie p. Tretiak, wygłaszając *Nowe hasło* umiarkowanego postępu.

O prasie peryodycznej pisze p. Merunowicz w *Aforyzmach dziennikarskich*, niesłusznie walcząc przeciwko zasadzie bezimienności, której nie znosił tylko bonapartyzm, kładący kaganiec na wolność słowa, chociaż jest ono zwyczajem przyjętym w prasie najswoobodniejszych krajów, gdzie zwy-

kle jednostka dziennikarska znika a zostaje organ, reprezentujący pewne stronnictwo lub pewien prąd opinii. W tym samym przedmiocie przemawia p. Chłędowski, który w urywku: „Żyd wieczny i dziennikarstwo“, wypowiada kilka zbyt ujemnych poglądów na znaczenie dziennikarstwa, jako czynnika wiehrzącego umysły i mącącego opinie.

Wśród poetycznych kartek Albumu dla honoru nazwiska dajemy pierwszeństwo kilku drobnym „Urywkom Kraszewskiego“, który w dość pospolitych rymach wypowiedział tu kilka równie pospolitych maksym, należących głównie do filozofii przesytu i rozczarowania. Z innych płodów muzy poetycznej najlepszym jest p. Biernackiego (Rodocia) satyryczna piosenka *Bravissimo*, pełna naturalnego, prawdziwie satyrycznego humoru. W wierszyku „Szachy“ Jan Al. Fredro znany bawicielem sceniczny występuje jako harenujący z wielkim humorem rzecznik złej sprawy i przedstawia w osłonie wyraźnej allegorii, jak wielką klęskę na szachownicy społecznego życia ponoszą szachy niemające figury, której zwykle daje się mata. P. Aurelego Urbańskiego „Arlekin“, fantazyja karnawałowa, jest tak chimeryczną, że zamiast smutnego wrażenia tragicznego budzi tylko uśmiech politowania nad mózgami, w których się legną podobne dziwolagi. Pana Zagórskiego Włodzimierza „Vanitas vanitatum“, urywek z lirycznego poematu: Król Salomon jest poetyczną parafrazą niektórych sentencji biblijnego mędrca, przyprawnych nowożytną goryczą sceptycyzmu i palącą tęsknotą rozwiązania pytań nierozwiązalnych. Utwór ten należy do kategorii poezji rozpaczliwej, której epoka obecnie już minęła, posiada kilka pięknych i silnych ustępów, chociaż grzeszy rozwleknością i nie zawsze udatnem podrabianiem archaicznego tonu.

Z fragmentów powieściowych wart zaznaczenia szkic Wł. Belzy: „W Królestwie ruin“, z którego dowiadujemy się, że bohater znany z powieści Goszczyńskiego: „Król Zamczyska“, nie jest bynajmniej istotą wymyśloną, ale naprawdę poetycznym i upoetyzowanym waryatem.

Achillesową piętą Albumu są jego humoreski. P. Horaina: „Rażony piorunem“, pomimo humoru w opowiadaniu jest grubą facecią, w której autor blaznuje niesmacznie na temat bardzo smutny i robi farsę z pogrzebu. P. Wilezyński w „Zbrodni urzędowej“ opowiada bez talentu o nader blahym wypadku biurowego życia a sama wartość jego humoreski dowodzi, że tym razem z żadnej komedii *wie zapożyczył* pomysłu. P. Starkla humoreska „Samo-war“, oraz wiersze p. Antoniewicza i Grelńskiego nie zasługują prawie na wzmiankę.

Rzuciwszy okiem na całość zbioru, widzimy, że najpomyślniej przedstawia się w nim dział nauk społecznych, w którym prace p. Alf. Zgórskiego, Roszkowskiego i Bilińskiego zalecają się ważnością przedmiotu i zwiawem opracowaniem. Daleko mniej żywotności okazali historycy lwowscy, bawiając się w drobiazgowe notatki lub ciekawostki archeologiczne. Dwie prace filozoficzne nacechowane są świeżymi prądami myśli. Ciekawym rysem stosunków literackich lwowskich jest pesymizm w sądach o prasie peryodycznej, zabarwionych widocznie specjalnie galicyjskim kopciem. Belletrystyka przedstawia się najbiedniej z wyjątkiem zgrabnych wierszy Rodocia i Fredry, oraz kilku ustępów z poematu p. Zagórskiego, nacechowanych pewną głębokością myśli. Z innych artykułów przeróżnej treści wybitniejszą pracę pp. Małeckiego, Radziszewskiego, Sawczyńskiego i Ćwiklińskiego, i ks. Siemińskiego, z których każda ma istotną wartość popularyzacyjną lub naukową. Wogóle rzeczy dobre przeważają w Albumie nad lichszymi a chociaż brak tu prawdziwych brylantów literackich, jednakże całość korzystnie świad-

czy o atmosferze literackiej we Lwowie, odświeżanej zdrowymi prądami myśli. Prace pożyteczne i postępowe nadają zbiorowi ton żywotności i świeżości, a nigdzie prawie nie widać zatęchłej ciasnoty pojęć panujących w niektórych naszych koteriach literackich. Jak na wydawnictwo filantropijne bardzo mało mamy tu okrucichów rzuconych od niechcenia, tak że Album lwowskie wyróżnia się zaszczytnie wśród wszystkich zbiorowych darów, jakie literatura ofiarowała ostatnimi czasy ludziom dotkniętym przez klęski i kataklizmy przyrody.

J. K.

Historii Filozofii Langego zeszyt III przeprowadza nas do wieku XVI i XVII. Znajdujemy tu naprzód szczegółowy obraz wskrzeszenia epikureizmu przez Gassendego. Dalej autor zajmuje się Hobbesem. Koniec zeszytu zawiera pierwsze karty dziejów materyalizmu w Anglii. Głównymi bohaterami tych dziejów są Boyle i Newton. Nigdzie może zasługi obu tych myślicieli nie zostały gruntowniej ocenione jak w dziele Langego.

Dwa jeszcze zeszyty, które mają wyjść razem w przyszłym miesiącu, ukończą tom pierwszy, zawierający historię filozofii materyalistycznej do Kanta.

TEATR.

H. Sienkiewicza. Na jedną kartę, dramat w 5 aktach.

Dramat p. Sienkiewicza na scenie Teatru Rozmaitości poprzedziła głośnie, entuzjastyczna fanfara. Pisma, połączone poufnyimi korytarzykami z pracownią autora, ogłosiły uroczyste, że w niej narodził się utwór „wyjątkowy,” „arcydzieło,” które w „naszej literaturze dramatycznej zajmie jedno z najpierwszych miejsc.” Nad żadną podobno jeszcze kołyską sławy nie odśpiewano u nas tak wzniosłego hymnu; a gdy nadto po każdej próbie rozbiegały się coraz nowe echa uwielbień, czciciele Melpomeny omal nie zdejmowali kapeluszy przed jej świątynią, w której znajdował się i niedługo miał być publicznie wystawiony ten najświętszy dramatyczny sakrament. Nadszedł wreszcie dzień upragniony. Wzgardziwszy cieniami Korzeniowskich i Narzyskich, zapomniawszy nawet o istnieniu wszystkich współczesnych tryumfatorów teatralnych, poszliśmy na przedstawienie.

Podniesiono zasłonę. Autor wyprowadził kolejno swoich bohaterów i sposobem powieściopisańskim opowiedział ich dotychczasowe dzieje. Ujrzelśmy księżniczkę Starogrodzką, która jest narzeczoną Pretwica, lubi bardzo doktora Józwowicza, jak się później okazuje, kocha hr. Drahomira a nigdy by nie wyszła za hr. Miliszewskiego. Ma ona niepotrzebnie ojca, który nie tylko nie dostrzega zastawionych na córkę sieci, ale nawet pozwala, ażeby za nią w jego własnym domu uganiało się aż czterech młodych zalotników. Motorem sztuki jest dr. Józwowicz, syn kowala wychowany przez księcia, ambitny demokrat, który jednocześnie konkuruje — jawnie o mandat poselski i skrycie o rękę księżniczki. Wyłącznie jednak pilnuje tej ostatniej; bo gdy z wyborcami załatwia się przez swego agitatora Żuka i nawet w decydującej chwili pokazać im się nie chce, do salonu książęcego przyszedł tak dalece, że wszystkich doń sprowadza. Głównym celem tego „Robespierre’a” jest usunięcie Miliszewskiego oraz powasnienie i upłatanie w pojedynkę narzeczonego panny Stelli (Pretwica) z jej idealnym kochankiem (hr. Drahomirem); gdy jednakże pierwszy pada w walce a księżniczka, dowiedziawszy się o tem, ku wielkiemu zdziwieniu bohaterów i widzów umiera, Józwowicz, który wszyst-

ko postawił na jedną kartę, woła: „przegrałem — strasznie!” Oto osnowa dramatu, rozwieszona na pięciu aktach. Przyjrzyjmy się naprzód ze strony artystycznej temu „arcydziełu.”

Rozwijają się ono w salonie starego, dumnego księcia, który nie pojmuje, ażeby syn kowala mógł zostać posłem i tytułować się Jaśnie Wielmożnym, który swemu wychowawcowi rzuca w twarz dość ostre słowa wzgardy i nie tai, że gdyby go nie potrzebował dla zdrowia, wygnałby z swego domu. Pomimo to pałac owego zakamieniałego magnata staje się niemal publicznym hotelem, do którego każdy swobodnie wchodzi, kiedy chce, w którym oberwany agitator potraça hrabiego i nie krępuje się obecnością księżniczki, w którym etykietę zastępuje rozkaz syna kowalowego. On jest tak wszechwładnym panem w tym domu, że bez ceremonii, gdy księżniczka zbyt uczciwa, każe jej wyjść, a gdy mu jej narzeczony potrzebny, wzywa go przez lokaja. Rzecz naturalna, że osłonięty tak potężnym skrzydłem rubasznego agitatora Żuka depece meble książęce do syta.

W takie to artystyczne ramy oprawił autor starego księcia, który pojawia się na scenie jak gdyby tylko dla przypomnienia widzom, że wszystko to dzieje się w magnackim domu; dalej jego córkę, którą można przylepić jako winietę na okładce *Filozofii nieświadomości*, która nie wie czemu jednego kocha, drugiego lubi a za trzeciego wyjść by chciała i która umiera, gdy w pojedynku zginął nie kochanek jej lecz narzeczony; w tych ramach wreszcie tkwią trzy maślane figury, trzech paniczów, odznaczających się tem tylko, że jeden wyratował żydówkę z ognia, (i dla tego zapewne zyskał miłość Stelli), drugi był daleko (i dla tego może został jej narzeczoną) a trzeci słucha się mamy, ale wbrew jej woli ani mężem ani posłem zostać nie chce. Postacie te nie mają żadnych cech szczególnych, odrębnych charakterów; hr. Drahomir różni się od Pretwica tem tylko, że pierwszego gra p. Prażmowski a drugiego p. Leszczyński. Autor pozbawił ich zupełnie energii i woli, nadał tylko wspólną zdolność do wybuchów honorowych.

Te to naczynia arystokratyczne ma rozbić polski „Robespierre” — Józwowicz. Celem jego operacji w dramacie — jak rzekliśmy — jest usunięcie lub stracenie współzawodników i zdobycie księżniczki. Dla czego? Czy ją kocha? Nie; nie widzimy w nim wcale namiętności, któraby go popychała do zbrodni. Czy nosi w swej duszy pamięć upokorzenia i żądzę odwetu? Nie; stary książę dźwignął go z niskiego stanu i wychował jak ojciec. Więc może tym sposobem pragnie wspiąć się na wyższy szczebel drabiny społecznej? Nie; mandat poselski dostaje mu się niezależnie od tej operacji. Więc dla czegoż intryguje, mści się, spycha ludzi w przepaść? Nie wiadomo, chyba dla tego, że jest... przywódcą stronnictwa demokratycznego. Józwowicz stanowi w dramacie p. Sienkiewicza pozbawioną ludzkich uczuć, automatyczną maszynę do zerznięcia na sieczkę snopka arystokratów. Nie jest to nawet maszyna zbyt kunsztowna, działa najzwyczajniejszymi środkami intrygi a czasem nawet proste jej koła zahaczają się i nie mogą spełnić swego przeznaczenia. Tak np. „Robespierre” postanawia rzucić głupowatego hr. Miliszewskiego na Pretwicę; w chwili jednak gdy widzowie spodziewają się jakiegoś poważnego skutku z tego starcia, „Robespierre” im donosi, że przeciwników pogodził. I gdyby nie monologi, w których poznajamia nas ze swymi zamiarami, nie rozumielibyśmy wcale jego postępów, tak one w akcyi pozbawione są wszelkich przyczyn, zwłaszcza że jej wątek utkany z pajęczych nici, z zagadkowych stosunków, z nieokreślonych charakterów i niezdeterminowanych uczuć.

Gdyby p. Sienkiewicz nakreślił był obraz

artystyczny, prawdziwy, ani nie posądzałibyśmy go o tendencję, lub nie oskarżali za nią. Jaką widział rzeczywistość, taką odmalował, a nie jego wina, że cień padł na demokratów a światło na arystokratów. Jeżeli jednak pisarz, który w swych powieściach złożył dowody bystrego spostrzegania i umiejtnego postaciowania zjawisk życiowych, tworzy figury martwe, pozbawione prawdy, sztucznie nakręcone, to musimy przypuścić, że je wynalazł i użył do pewnego z góry postawionego założenia... Założenie to przedstawia się mniej więcej tak: arystokraci są poczciwi i głupi, demokraci mądrzy i podli. Niepodłe wśród tych ostatnich są tylko takie pionki na usługach kierujących figur, jak Żuk. I na jakich dowodach w dramacie opiera się ten wniosek? Czy w nim występują jakiekolwiek czynniki, któreby wyłącznie do właściwości arystokraty lub demokracji zaliczyć można? Dla czego Józwowicz nie występuje jako Józwowicz, lecz jako przywódca partii demokratycznej? Czy jego podłości nie mógłby popełnić szermierz innego obozu? P. Sienkiewicz tak dalece wypchał tendencją swych bohaterów, że nawet w znacnem sercu Żuka nie pozwolił obudzić się wzgardzie w chwili, gdy ten dowiaduje się o zbrodni doktora. Zamiast go opuścić, napiętnować, agitator daje mu tylko naukę na przyszłość. Tym sposobem autor tę jedyną żywą, chociaż nie polską ale raczej francuską lub niemiecką postać kaleczy niezdolnością pocucia moralnego — na pohańbienie demokracji.

W rozwoju piśmienniczej działalności p. Sienkiewicza, który od *Humoresek z teczki Worszyłki i Szkiców Węgłem* tak szybko przeskoczył do sielanek szlacheckich i podgryzania postępowych latorośli, dramat *Na jedną kartę* jest objawem bardzo naturalnym. Autor wpadł tam, gdzie się od lat kilku chylił. Jakkolwiek nie sądzimy, żeby losy naszej demokracji zależały od tak wątych gromów, przykro nam jednak widzieć w młodym autorze tę chęć duszenia prądu, który ledwie dyszy, to kreslenie nieudolną ręką Rabagasów, którzy jeszcze się nie urodzili, to zniesławianie karykaturami charakterów, które społeczeństwu są potrzebne, a wszystko to w autorze, zawdzięczającym swe najlepsze natchnienia właśnie tej krynicy, w którą lekkomyślnie pluje. Bo i gdzież p. Sienkiewicz w życiu naszym dostrzega gospodarstwo i rozbój demokratów w książęcych pałacach? Można gęgać, ale przynajmniej wtedy, gdy zwycięży pod Kapitołem. Tymczasem u nas a podobnie i w Galicyi demokracja jest podrzutkiem, którego społeczeństwo niedawno przytuliło i wychowuje. Tak jeszcze młody, że nie miał czasu nauczyć się zbrodni, a dla zachowania życia wiele już enót w sobie wykształcił, wiele nawet sił p. Sienkiewiczowi do dawnych utworów udzielił. I jak gdyby Nemezis ukarała autora za odstępstwo, napisał on rzecz najlichszą właśnie wtedy, gdy demokratycznym być przestał.

Pisma, które nas uprzedziły w wyrażeniu rozczerowania po dramacie *Na jedną kartę*, otrzymały od jednej z gazet, liczącej p. S. do swych głównych współpracowników, surową nagane. Gazeta owa nieprzychylny sąd wytlomaczyła... zawiścią. Dość naiwnie. Dla czegoż owa zawiść umilkła, gdy oceniano powiastki p. Sienkiewicza? Dla czego nikt zagrożony „współzawodnictwem” nie zamykał teatru Blizińskiego? Zdaje nam się, że daleko łatwiej znaleźć powód różnicy zdań w rzeczywistym stosunku p. Sienkiewicza do wysławiającej go gazety, niż w domniemanej zawiści. Nic dziwnego, że pisma, które — mówiąc językiem wielkiego publicysty niemieckiego — nie potrzebują w cudzej asafetydzie chwalić różanej woni i które nie brały udziału w fanfarze przed wystawieniem dramatu, mają wolne ręce i sumienie. Być może, iż przez pryzmat przyjaźni dramat ów wyda-

je się bardzo pięknym, nie przeszkadza to jednak wcale tym, którzy patrzą bez uprzedzeń, widzieć w nim utwór niższy od wszystkich poprzednich prac p. Sienkiewicza i niegodny wyprawionej mu przez kilka pism owacy. Jest to artystycznie bardzo pospolita, zaledwie kilkoma szczęśliwymi błyskami oświecona robota, społecznie zaś z gruntu licha. Gdyby autor mógł otrzeźwieć z czadu przyjacielskich kadzideł i gdyby w pierwszym debiucie całą swą dramatopisarską sławę postawił na jedną kartę, powiedziałby niezawodnie o sobie to, co Józwiowicz: „przegrałem... strasznie“. Życzymy mu szczerze, ażeby się odegrał.

Czyż podobna jednak, ażeby pisarz bogatego talentu zatracił w jednym chybionem dziele wszystkie swoje przymioty? Jakkolwiek pozorny ruch jest dowolnem i częstem wsuwaniem figur czterema drzwiami salonu, podobnem do mechanicznego tasowania kart, wpływa on kilkakrotnie z samego biegu akcji. Niektóre jej ustępy (np. rozmowa księcia z Józwiowiczem o jego przyszłej godności) są bardzo charakterystyczne, inne zaś (Miliszewski) szczerze wesołe. Język p. Sienkiewicza nie był nigdy ani świetnym, ani że tak powiemy — miesistym; ale był i jest w tym dramacie gładkim, zręcznym i żywym. Jestto mowa, która nie osłepia, ale i nie nuży, nie porywa, ale i nie nudzi, nie jest boską, ale i nie pospolitą. U nas, gdzie zamilowanie formy nie jest wrodzonym smakiem literatury bieżącej, każdemu starszemu opracowaniu wypłaca się hojne premium z zapisu Szekspirów, Borne'ów, lub Słowackich. Właściwych jednak kandydatów do takiej nagrody mamy bardzo niewielu, a p. S. jeszcze prawa do niej nie zyskał.

W nieokreślone formy najlepsze talenta aktorskie nie mogły wlać życia. Panna Deryng, pp. Żółkowski, Tatarkiewicz i Leszczyński udawali wybornie niestworzonych ludzi. Najżywsza postać Żuka najlepiej też została odegrana przez p. Królikowskiego. Artysta ten przypomniał nam najszczęśliwszą chwilę swoich wystąpień. Wspomnieć należy i o p. Wolskim, który umiejętnie wraz z innymi ratował rozbity okręt książęcy.

I. A.

LIBERUM VETO.

Działalność w ostatnim tygodniu. — „Niektóre etapy.“ — Udział historii i ziem przyległych w naszym karnawale. — Na intencję biednych. — Lombard prywatny. — Taniec jako sposób dźwigania obowiązków. — Pomnik dla Mickiewicza. — Niepowodzenie składek na szluzaków. — Obrona Miarki. — Komunikat z bezimiennego źródła. — Historia jednego poczthaltera. 77 rs. 63½ kop. długu i 47 rs. emerytury. — Trzeba tańczyć. — Szkodliwość maszyn do szycia i mieszkania na Syberyi. — Szwaczka i Dr. Piekarski. — „Administratiwnaja sсылка“, rewizye senatorskie ijazd kuratorów. — Słowa Najwyższego Reskryptu.

Działalność nasza w ostatnim tygodniu, z powodów łatwo zrozumiałych, spotęgowała się, ale z powodów niezrozumiałych doszła do takiej miary, jakiej już dawno nie osiągnęła. Karty historii naszej zapisały się tyłoma ważnymi wypadkami, że ledwie starczy mi miejsca na suche ich wyliczenie. I tak: w czwartek (cytuje według *Echa*) dwa wieczory w jednym domu u pp. Sz. i G.; w piątek *wspaniały* bal u hr. Z. P. i wieczór u p. W.; w sobotę *piękny* wieczór u p. A. T. i Z. M.; w niedzielę u pp. T. i J.; w poniedziałek u p. R. we wtorek u p. L. a nadewszystko u hr. Z., gdzie wystąpiły ni mniej ni więcej tylko: Valois, Marya Stuart, żydówka z czasów Jagielly i chłopka z pod Maciejowic. A były

to — jak się wyraża złotousty *Kuryer* — jedynie „niektóre etapy świetnego rozwoju zabaw“ w ubiegłym karnawale, bo „dynamicznych (?) przyjęć“ niktyby nie zliczył. „Rozwój“ ten posunął się rzeczywiście tak daleko, że wskrzesił wszystkie wielkie epoki w historii i ogarnął wszystkie wschodnie dzielnice nam przyległe. Według *Echa*, o którego wiarogodności powątpiewać nie należy, Litwa, Wołyń, Podole i Ukraina dostarczyły Warszawie kontyngensu i pomogły nam „w dźwiganiu uciążliwych nieraz obowiązków karnawałowych.“ Rad jestem niezmiernie ochoczemu spełnieniu owych zadań tem więcej, że pocziwa „żydówka z czasów Jagielly“ miała sposobność po tylu wiekach zatańczyć i że wszystkie te plasy odbyły się na intencję... biednych. Według bowiem zapewnienia historyków karnawału, Warszawa chętniej niż kiedykolwiek uczęszczała na bale publiczne, gdyż w tym roku poczuła szczególne miłosierdzie. Biedni nędzarze, co oni by zrobili, gdyby karnawał był krótszym lub gdybyśmy mniejszą mieli ochotę do tańczenia! Bo nie ulega wątpliwości, że poczawszy od młodych córek a skończywszy na starych ojcach, wszyscy nogami dawali jałmużnę, wszyscy szli na bale publiczne dla tego tylko, ażeby... pomódz żebrakom. Najszczerzej wyznała mi to jedna z naszych syren.

— Po co pani idzie na bal — spytałem — kiedy taki nudny?

— Kobiety — odrzekła — które mają świeżą i gustowną toaletę, nigdy się nie nudzą. Każda z nas chociażby tylko była sama z piękną suknią, bawi się wybornie.

Ponieważ skromniejsze, tak zwane przez *Kuryer* „dynamiczne przyjęcia“ nie przeniknęły swą sławą do pism, niepodobna więc zestawzić nawet przybliżonej statystyki zabaw karnawałowych; przypuścić jednak można następującą proporcję: kto miał na chleb, częstował gości tortami, kto zaoszczędził rubla, wyprawił wieczór za dziesięć. Musiał to dostrzedz właściciel sali licytacyjnej, skoro tak szybko wniósł podanie o... prywatny lombard. Oby koncesya na tę pożyteczną instytucję przyszła jak najprędzej i dała u siebie schronienie *markizom, chaperonom*, a wreszcie, jeśli tego będzie potrzeba — i „żydówkom z czasów Jagielly.“

Posypawszy głowy popiołem, dochodzimy do jednego karnawałowego wniosku, mianowicie: najpewniejszym sposobem „dźwigania uciążliwych nieraz obowiązków“ jest u nas bal. Bal opłaca wpisy za studentów, wspiera pogorzelców, ratuje powodzian, karmi i odziewa biednych, nawet wystawia pomnik Mickiewiczowi. Bo wszakże, gdyby nie bal u hr. Tarnowskiego, największy poeta polski nie miałby w Krakowie pomnika. Nie tańczyliśmy wprawdzie na szluzaków i zebrali poważne sumy, ale też niezbyt się nam powiodło.

P. Karol Miarka, szafarz składek, został przed kilku miesiącami uwięziony. O powodach tego uwięzienia głuche tylko do nas dochodziły wieści. Gazety niemieckie i przeciwnie Miarce pisma szluzkie oskarżały go o nadużycie grosza publicznego. Znajac rzetelność jednych i namiętność drugich, trudno było dać im wiarę, ale zarazem i owa wiara w niewinność posądzonego nie miała na czem się oprzeć. Złożywszy przeto ręce, czekaliśmy wyniku sądowej sprawy. Tymczasem przed kilku dniami niektóre pisma ogłosiły jednobrzmiący (znowu!) komunikat „z wiarogodnego źródła“, że jakkolwiek sąd postawił Miarkę istotnie pod zarzutem przywłaszczenia części ofiar, zarzut ten jest „najzupełniej upoźworowany, potwareczy i złośliwie tendencyjny.“ W całej sprawie to tylko jest pewnem, że jeśli p. Miarka będzie miał w sądzie takich obrońców, jak w naszej prasie, choćby był czystym jak iza, przeпадnie. Bo przedewszystkiem czyj honor omyło kiedykolwiek z potwarzy bezmienne

ne „wiarogodne źródło“ jednobrzmiącym komunikatem? Publiczność całego świata a nasza szczególnie nie ufa wszystkim jednobrzmiącym plakatom rozpisany na kolumnach gazet, zwłaszcza bez podpisu. I rzeczywiście kogoby np. przekonało doniesienie: dowiadujemy się z wiarogodnego źródła, że p. Stroussberg jest bardzo porządnym człowiekiem i nie nadużył powierzonych mu kapitałów? Tak bronić, to lepiej nie bronić. Ponieważ prasa nasza (o czem pomieszczające komunikat pisma zapomniły), wcale nie roznosiła uczynionego Miarce zarzutu, kto więc odważył się sprawę tę ujawnić i rozjaśnić, winien był zaopatrzyć się w poważne, imienne, przekonywające dowody, nie zaś w w komunikat „z wiarogodnego źródła.“ Listy dwu, trzech właścicieli szluzkich posiadałyby większą wagę, niż gołosłowny anonim. Bo i jakż zdarzyć się może rezultat? Przypuśćmy, że sąd uzna Miarke winnym — co my będziemy mieli dla udowodnienia jego niewinności? Jednobrzmiące doniesienie „z wiarogodnego źródła?“ Przeciwwaga za mała. Zasłuży się uczciwie ten, kto większą zdobędzie.

Jeżeli mamy kogo bronić publicznie, to przynajmniej tak, jak ktoś w *Wiek*u obrobił społeczeństwo nasze od zarzutu niezadności skromniutkim, ale pysznym przykładem. Za błogosławionych czasów istnienia Komisji Spraw Wewnętrznych i Zarządu Poczty w Królestwie, poczthalterowie otrzymywali dla pocztylionów całe umundurowanie w naturze. Następnie dostawali wynagrodzenie pieniężne rs.... 4 kp. 50. Od r. 1870, po zwinięciu Zarządu Poczty, i te skromne kropelki kapaci przestały. Nie przestali jednak gubernialni naczelnicy pocztowi żądać od poczthalterów staranego mundurowania służby. Jeden z nich śmielszej natury wystąpił do władzy z piśmiennem żądaniem, ażeby mu stosownie do kontraktu wypłacono zaległość za 5 miesięcy 77 rs. 63½ kop. Po upływie kilku miesięcy otrzymał wreszcie... odpowiedź, że opłaty nie dostanie, gdyż ją zniesiono „w widokach ustanowienia innego wynagrodzenia.“ Ale i tego innego wynagrodzenia nie doczekał biedak i musiał liberyę pocztylionom sprawić za własne pieniądze. „Tyle czytamy — powiada autor tej skargi — o miliardowych pożyczkach, miliardach kontrybucyj i miliardach długów, że kwota 77 rs. 63½ kop. obok nich na firmamencie cyfr postawiona, jest tak małą, iż najsilniejszy teleskop jej nie odkryje. A przecież to cyfra bardzo poważna. Poczthalter, po 34 latach służby, wcale nie lekkiej, otrzymał 50 rubli emerytury rocznej, z czego jeszcze potrąca się 3 rs. na dom inwalidów. Skoro więc dochód jego całoroczny wynosi 47 rs. to kwota 77 rs. 63½ kop. jest dla niego bardzo poważną, bo równa się półtorarocznemu utrzymaniu.“ 47 rs. emerytury! Żyć głupi człowieku, kiedy ci się podoba! Czy na tych ludzi nie wartoby w najbliższym karnawale zatańczyć? Nie ma instytucji, którąbym częściej przeklinał, jak nasza poczta. Ile ona mi zatraciła listów i gazet, ile napsuła krwi, wszyscy bogowie zliczyłyby nie zdolali. Ale cóż! Gdy razu jednego wpadłem wzburzony do poczthaltera z zamiarem pomszczenia krzywd moich, człowiek ten, wysłuchawszy wyrzutów, odrzekł najspokojniej.

— Bóg dał mi troje dzieci, a departament 15 rs. na miesiąc. Niech pan przy tych dwu błogosławieństwach spróbuje nie odklejać marek i nie wypożyczać cudzych pism.

Cóż miałem powiedzieć? Cóż powiem teraz, gdy departament nie oddaje 77 rs. 63½ kop. człowiekowi, który ma niecałe 3 rs. emerytury na miesiąc? Doprawdy wartoby zatańczyć drugi raz i zebrać dla poczthalterów składkę na koszt procesu z departamentem.

Warszawa, d. 3 marca.

Sprawę tę powierzmy drowi Ch., który w *Wieku* tak wymownie potępił zabójcze dla zdrowia szycie na maszynie. Olsniony jego wywodem, natychmiast udałem się do jednej biednej szwaczki i rzekłem uniesiony.

— Na litość, co pani robisz? Chyba nie czytałaś artykułu p. Ch. w *Wieku*? A toż on udowodnił, że szycie na maszynie jest w największym stopniu niehygieniczne. To nie są wcale żarty. Czy pani wie, że według dra Gardnera maszyna drażniąco oddziaływała na systemat nerwowy, tamuje trawienie, spowodowała błednicę? Dr. Levy powiada wyraźnie, że „kobiety pracujące na maszynach miewają bicie serca, niespokojność w nocy, bóle w krzyżach i nogach, zawroty i cierpienia głowy, oczy podsiniałe.“ Pani tego doznajesz? a widzisz! Nie na tem koniec. Dr. Osterlen spostrzegł nawet znaczne osłabienie unerwienia kończyn dolnych. Radzę pani, nie szyc tak wiele a przede wszystkim kup sobie w tym przedmiocie broszurę dra Żulińskiego.

Rzeczywiście szyc przestała, popatrzyła na mnie chwilę, wreszcie zaczęła się śmiać, jak opętana. Wyszędłem rozniewany. Wróciwszy do domu, znalazłem na biurku gazetę a w niej doniesienie o śmierci dra Piekarskiego, który umarł przed kilku dniami w naszym mieście. Nieszczęśliwy, mieszkając długo na Syberji, dostał pomieszczenia zmysłów. Znowu ofiara... niehygienicznego życia — pomyślałem sobie. Gdyby żył, odczytałbym mu kilka rozdziałów z higieny... Nie, nie odczytałbym, bo może by się roześmiał, tak jak owa szwaczka.

Cała prasa rosyjska zajmuje się obecnie sprawą tak zwaną „administratiwnoj ssylki“, która co najmniej ma uleść znacznym ograniczeniom. Może to nauczyć nierostropnych ludzi higieny. Drugim ważnym przedmiotem jej rozpraw są ciekawsze od romansów Gaboriau rewizje senatorskie, a trzecim zjazd kuratorów, który wreszcie się skończył, przyszedłszy do kilku mniej ważnych wniosków, zamiast do jednego najważniejszego, mianowicie: żeby nade drzwiami wszystkich szkół były wyrze i zawsze stosowane te słowa Najwyższego Reskryptu z r. 1866: „Nie pozwalam ani Sobie, ani komukolwiek przemieniać rozsądników nauki na szkoły dla osiągnięcia celów politycznych; zwierchności szkolne winny mieć na widoku tylko bezinteresowne służenie oświacie.“

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Uwagi nasze nad projektem złożenia starań o oświatę ludu w ręce pańien, naraziły nas na niezadowolenie autora tej myśli, pana Agricoli, uprawiającego grządkę projektów społecznych w *Korespondencie Płockim*. Czytelnicy zainteresowani tą paniensko-cywilizacyjną misją, mają zapewne w świeżej pamięci to, cośmy (w nr. 4 *Prawdy*) o niej powiedzieli; dziś więc, ograniczymy się tylko na prośbie do pana Agricoli, aby sobie artykuł nasz z chłodną rozważą odczytał. Przekona się wtedy niezawodnie, że treść jego jest taka: niechaj się panny zajmują oświatą ludu — i owszem; tylko nie wstawiajmy tego amatorskiego zatrudnienia, które innem być nie może, w program organizacji pracy społecznej, jak to chce pan Agricola; taka bowiem działalność, któraby odpowiadała doniosłości założenia, przechodzić musi zakres sił i kompetencji — pańien. Jak zaś rozumiemy warunki tej działalności, tośmy wskazali na przykładzie p. Mayznera. Pan Agricola tymczasem znalazł w wywodzie naszym tylko „dumą przysięgłego literata“ — „nieprawidłowe zabarwianie obrazów

w szkłe naszej perspektywy“ — „niewypowiedzenie czego chcemy (!) — nierozróżnianie teorii od praktyki“. Wybaczy nam pan Agricola i *Korresp. Płocki*, że co do tych zarzutów, które dotyczą tylko osobistych ułomności piszącego te słowa i jego perspektywy, pozostawimy ich w spokoju przy zdaniu, jakie im się mieć podoba; „duma przysięgłego literata“ bynajmniej nie pobudza do sprzeczki w tym punkcie, a nie przypuszczamy też, aby p. Agricola był tym optykiem, któryby zdołał usunąć z naszej perspektywy nieprawidłowości, jeśli one są. Nadmienimy tylko co do ostatniego punktu, że właśnie rozróżnienie teorii od praktyki podyktowało nam uwagi nasze, a sądzymy, że tym razem po naszej stronie stoi praktyka, gdy po stronie przeciwnika naszego tylko teoria i to teoria z pajęczej przędzy utkana.

Szanowny „preopinant“ nasz uzasadnia w dalszym ciągu wniosek swój motywami, które żadną miarą krytyki nie wytrzymują. Powiada on, że obywatele nie nie robią dla sprawy oświaty, a ponieważ „ręk opuszczać nie wolno“, zatem trzeba sprawę tę oddać obywatelkom. Czy to rozgatkowanie czynników społecznych wedle płci ma jaką podstawę? Pan Agricola utrzymuje, że tak, albowiem zdaniem jego: „ziemianin nasz stoi niżej umysłowo od przedstawicieli płci pięknej“ — ponieważ „interes inteligentnego rozwoju jest dla niego („ziemianina“) czemś wiecznie niezrozumiałym“, — ponieważ wreszcie kobiety na pensjach „więcej się pożytecznego uczą“ niż mężczyźni w szkołach. Jestto argumentacja tak gołosłowna, tak słomiana, że młócić jej nie myślimy, gdyż nie domłóciłibyśmy się z niej ziarna. Dowodzić nie chcemy, iżby w obywatelstwie wiejskiem roli się luminarze; ale — niech nam daruje p. Agricola — nie możemy się zgodzić na to, aby przeciętny „ziemianin“ stał niżej umysłowo od żony i córek, jeśli umysłowości nie oprzemy na salonowych manierach i karmieniu się — wedle własnego, p. Agricoli wyrażenia — cienkimi łodygami *Bluszczu* i chudemi *Kłosami*; nie możemy przystać i na to, że na pensjach żeńskich „uczą więcej pożytecznego“. Cokolwiek można powiedzieć o naszym systemacie szkolnym, sąd p. Agricoli o nim jest pustym frazesem.

W zajmującej nas sprawie punkt ciężkości spoczywa właściwie gdzieindziej. Poziom umysłowości mężczyzny i kobiety jest tu względem drugorzędny. O pedagogikę nie idzie. Tu chodzi o działalność obywatelską, a w tym wypadku będziemy zawsze woleli „ziemianina“ niż jego córkę — byle miał potem dobrą wolę. Inicytywa jednostek energiczniejszych i światlejszych, przykład dobry — oto, czego na początek potrzeba. Dla tego wskazaliśmy w poprzednim artykule naszym na żywy przykład, który najskuteczniej działać powinien. Pan Agricola opowiada, że „proponował“ już bardzo wiele pięknych rzeczy, a wszystkie projekty przebrzmiały bez echa. Niech się p. A. pocieszy, że pod tym względem dzieli los wielu innych, a przede wszystkim całej prasy krajowej. Radzimy więc mu, aby zamiast „proponować“, spróbował coś zrobić, nie oglądając się na córkę, a gdy sąsiad pójdzie tą drogą, obaj osiągną więcej, niż poświęcenia pańienkie. Nawet przetarłszy naszą *perspektywę* pod wpływem nagany p. Agricoli, nie mogliśmy w ubiegłym tygodniu dojrzeć nic, coby zasługiwało na bliższą uwagę. Morderstwa tylko przeplatają się ze złodziejstwami — a fakta te, chociaż w swej sumie mogą posłużyć za materiał dla wywodów etyki społecznej, jako zjawiska odosobnione nie przedstawiają nic pouczającego.

St.

Gambetta i Bismarck zajmują jeszcze naczelne miejsce na porządku dziennym obecnej chwili, idzie przeto tym dwóm biegunom politycznego globu Europy przede wszystkim uwagę poświęcić musimy. W przeszłym tygodniu wspomniano na tem miejscu o mowie prezesa francuskiej Izby deputowanych i o postrachu, jaki kanclerz niemiecki szerzy w parlamentach berlińskich. Winniśmy więc dziś wzmiankę dalszym objawom wysnutym z tych faktów.

Pierwszym takim objawem jest komentarz *Republ. fr.* do mowy Gambetty. Nieprzyjazne marszałkowi dzienniki usiłowały tendencyjnie wyzyskać jeden z ustępów tej mowy, w którym prezes Izby powiedział, że swoją politykę wyprowadzi na widownię wtenczas dopiero, gdy krajowi spodoba się powołać go na inne stanowisko. Dopatrzone się w tem pretensyi do prezydentury, ba, nawet pogrożek zamachu i przedstawiono demokratycznego trybuna jako cesarza żadnego purpury. Organ więc jego w ostrym, ciętym artykule rozprowadza ten ustęp mowy dokładniej i objaśnia, że owem innem stanowiskiem, na które kraj powołać ma Gambettę, jest prezydent gabinetu, w którym władza wykonawcza łączy się z odpowiedzialnością — dwie rzeczy niezbędne do przeprowadzenia każdego programu. Jestto więc pierwsze głośne stwierdzenie gotowości Gambetty do zajęcia tej naczelnej pozycji widomego rządu, której to gotowości spełnienie zależeć będzie od wyniku wyborów tegorocznych do parlamentu. Jeśli on wypadnie pomyślnie, co wątpliwości zdaje się nie ulegać żadnej, nastąpi więc ministerium Gambetty, a z niem niezawodnie i tak zwana polityka czynu wobec zagranicy znacznie się w kursie podniesie.

Takie są wskazówki sytuacyjne, wyprowadzone z ostatniej mowy Gambetty, którą, wedle tego sądząc, prasa niemiecka nie bezpodstawnie ochrzciła mianem manifestu przedwyborczego.

Wskazówki to w każdym razie dla Francji jasne. Inaczej wyglądają horoskopy niemieckie. Tu absolutyzm bismarkowski brnie w własne błoto coraz głębiej — dowodem ostatnia zmiana w ministerium. Eulenburg otrzymał żadaną dymisyę, a ustąpienie jego wyzyskanem zostaje w duchu jeszcze więcej reakcyjnym. Tekę spraw wewnętrznych ma otrzymać pan Puttkamer, odwrotowy następca Falka w wydziale oświaty i wyznań, który to wydział znowu otrzyma podobno niejaki pan Scheling, syn filozofa, ortodoks czystej wody. Co krok więc, to ruch wstecz. Na dokompletowanie tych pięknych widoków *Nordd. Allg. Ztg.* zapowiada, że kanclerz nie ustanie szturmować do Izby, dopóki mu nie uchwala zmiany konstytucji co do zaprowadzenia dwuletnich okresów budżetowych i prawodawczych. Naród tak pracowity, jak są Niemcy, — powiada dobrowolnie urzędowy organ — dość będzie miał tego dobrego, jeśli co trzy lata przyjdzie mu dokonywać „operacye“ wyborcze dla sejmów krajowych i sejmu cesarstwa. W latach parzystych obradować będą sejmy krajowe, w latach nieparzystych parlament rzeszy. Dowiadują się zatem Niemcy, że parlamentaryzm w pojęciu ks. Bismarcka jest synonimem próżniactwa — teoria, jak na państwo konstytucyjne, niezaprzeczenie wesole.

W Anglii Izba gmin załatwiła się nakońcem z bilem represyjnym irlandzkim, który dziś lub jutro przejdzie także przez Izbę lordów i będzie mógł być wprowadzonym w wykonanie. Obecnie Izba niższa obraduje nad bilem, również irlandzkim, o zakazie posiadania broni, po uchwaleniu któ

rego dopiero ma przyjść kolej na bil o reformie gruntowej w Irlandyi. Walka parlamentarna po zmianie regulaminu ostygła znacznie, stąd i zainteresowanie opinii publicznej również osłabło, tem bardziej, że sprawy kolonij absorbują silnie uwagę. W Transwalu wojska angielskie poniosły znowu fatalną klęskę w starciu z boerami. Za miarę porażki służy fakt, że głównodowodzący generał Colley poległ na placu bitwy wraz z wszystkimi oficerami sztabowymi. Posiłki wysyłają się, dowództwo poruczono zwycięzcy Afganistanu, generałowi Roberts, — rozpocznie się reperacja silnie zadraśniętego honoru wojskowego W Brytanii. O pokoju więc, który już miał być zawartym, na teraz, zdaje się, nie może być mowy.

Układy między ambasadorami państw kongresowych a Portą otomańską o uregulowanie kwestyi greckiej toczą się w Konstantynopolu już od tygodnia, dotychczas jednak żadnych autentycznych wiadomości o ich przebiegu i widokach powodzenia niema.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W czerwcu r. b. urządzoną zostanie w Warszawie wystawa dzieł sztuki z zastosowaniem do przemysłu i rękodzieł. Wystawa ta obejmować będzie następujące przedmioty: wyroby ceramiczne, szklane, metalowe, wyroby z kości słoniowej, z drzewa i kamienia; prócz tego obejmie ona meble, tkaniny, koronki, skóry, jako też przedmioty sztuki drukarskiej i introligatorskiej.

Stowarzyszenia. Na dochód czytelnicy akademickiej w Krakowie odczytała Deotyma rzecz p. t. *Biesiada z Ziemiomysła* (obraz dramatyczny z czasów przedchrześcijańskich).

— Na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu d. 21 z m., prezes p. St. Koźmian oznajmił, iż zarząd postanowił w krótkim czasie wydać rocznik Towarzystwa. Następnie jeden z członków odczytał pracę p. t. *O jesiennej kampanii Augusta II w roku 1704*. Prelegent opierał się na źródłach cennych i mało znanych, jak np. na własnoręcznych raportach Schulenburga, na listach Augusta II, pisanych do namiestnika saskiego, na listach Patkula, Steinaua, na opisach Nordberga i t. d.

— W krakowskiej Akademii Umiejętności odbyło się w d. 21 z m. posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem d-ra Teichmana. Sekretarz, dr. Kuczyński przedstawił nadesłane prace: p. Juliana Schrama *O stanowisku talu w systematyce chemicznej i jego obecności w sylwinie i karnalicie kaluskim*; rozprawę dr. A. Rogalskiego: *Rola zieleni w asymilacji*. W dalszym ciągu posiedzenia dr. Teichman przedstawił treść rozprawy prof. d-ra Brodowskiego: *Przyczynę do anatomii patologicznej wątroby*. Następnie prof. dr. Czyżniański przeczytał sprawozdanie o pracy pp. Wispeka i Zuberka: *O działaniu aldehydu na benzol w obecności chlorku glinowego*. W końcu prof. dr. Adamkiewicz odczytał rozprawę: *Czynność mięśni jako skutek podwójnego pobudzenia jednoczącego się w stosie pacierzowym*.

Literatura polska. W Przemysłu wyszło dziełko: *Chemia dla wyższych klas gimnazjalnych* przez Franciszka Tomaszewskiego.

— Na półkach księgarskich ukazała się ciekawa praca prof. Władysława Boberskiego z Tarnopola p. t. *Porosty galicyjskie*. Jest to odbitka z *Przyrodnika*, wychodzącego w Tarnowie.

— *Słownika geograficznego polskiego* zeszyt XV wyszedł z pod prasy i obejmuje w porządku alfabetycznym wyrazy od *Drozdów* do *Dybowo*.

— *Tygodnik Ilustrowany* donosi, iż zawiązany komitet wydawnictwa pośmiertnych dzieł Jana Kochanowskiego na uczczenie 300. letniej jego rocznicy, przypadającej w roku 1884, zajmuje się skrzętnie wydaniem pism, pozostałych po śpiewaku czarnolaskim. Znaczna część rękopisów została już przejrzana i przygotowana do druku, który rozpocznie się w końcu bieżącego ro-

ku. Przewodnictwo w Komitecie przyjął na siebie Konstanty hr. Przeździecki.

— Zeszyt *Biblioteki Warszawskiej* za miesiąc luty zawiera następujące prace: *Aleksander Tyssyński* przez F. K.; *Malarze polscy na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i w Salonie Ungra* przez Karola Matuzewskiego; *Odrodzenie i reformacja*, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego (dokończenie); *Siostra miłośnica*, powieść Emila Castelara; *Przegląd teatralny*, przez R. W.; *Kronika Paryska*; *Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego*.

— Zeszyt *Ateneum* za miesiąc luty zawiera następujące prace: *Brandenburgia i Polska po traktacie Oliwskim*, przez K. Jarochońskiego; *Tragiczna szekspirowska historia o księciu duńskim Hamlecie*, przez Włodzimierza Spasowicza; *Przybłędy*, nowella Sewera; *Walka z centralizmem w Galicyi*, przez Ignotusa; *Asnyk i jego liryka*, przez Józefa Tretiaka; *Początki sejmiku wielkiego*, przez Tadeusza Korzona; *Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie*; *Kronika miesięczna*.

Literatura niemiecka. Nakładem F. A. Brockhauza w Lipsku wyszedł pierwszy tom oddawna przez prasę niemiecką zapowiadanego dzieła p. t. *Memoiren zur Zeitgeschichte*. Autorem jest Oskar Meding, znany jako romansopisarz pod pseudonimem Grzegorza Samorow. Pamiętniki te wyjdą w trzech częściach; pierwsza, która ukazała się już na półkach księgarskich, obejmuje przeciąg czasu od 1860 do 1866 r., druga opisuje płodny w wydarzenia różnego rodzaju rok 1866, trzeci wreszcie obejmie okres czasu od 1866 do 1870 r., to jest do wojny francusko-niemieckiej.

Literatura francuska. Blavier, *La question du rachat des chemins de fer par l'Etat*. Wydane w Angers nakładem Lachese et Delbeau.

— Cauvet Emile, *Traité des assurances maritimes*. W Paryżu u Larose'a.

— Chatain Mareel, *De la propriété littéraire*. Wydane w Paryżu nakładem Cotillona i S-ki.

— Esnault et Louis Planquette, *Traité des faillites et banqueroutes*. Nowe wydanie, dopełnione. W Wersalu, księg. Cerf et fils.

— Franck Ad., *Reformateurs et publicistes de l'Europe (XVII-e siècle)*. Wydane w Paryżu, księg. C. Levy.

— Leroy-Beaulieu, *Essai sur la repartition de richesse et sur la tendance à une moindre inégalité des conditions*. Wydane w Paryżu.

— Nicolas, *Le problème social*.

— Rosières, *Histoire de la société française au moyen âge*. Wydane w Paryżu u Laisney'a.

— Saye, J. B. *Catechisme d'économie politique*. Wydanie szóste, dopełnione.

— Pallain, urzędnik ministerjalny francuski przygotował do druku niezwykle ciekawą publikację: jest to zbiór listów, pisywanych przez Ludwika XVIII do Talleyranda przez czas trwania kongresu wiedeńskiego.

Literatura angielska. Georg Bancroft, znany historyk angielski, przygotował do druku dalszy ciąg swej *History of the United States*. Dzieło to wyjdzie nakładem D. Appletona w New-Yorku p. t. *History of the formation of the constitution of the United States*.

Literatura rosyjska. P. I. Piaseckij, *Podróż do Chin w latach 1875 przez Syberyę i Mongolię*. Wydane w 2 tom. w Petersburgu.

— Styczeńowy zeszyt miesięcznika *Otieczestwiennyja Zapiski* pomieścił nową komedię Ostrowskiego p. t. *Niewolnice*.

Dziennikarstwo polskie. W obowiązkach redaktora *Gazety lekarskiej i Umiejętności lekarskich* zatwierdzony został p. Władysław Gajkiewicz, lekarz.

— *Przegląd techniczny* podaje w ostatnim swym numerze projekt gmachu dla wydziałów hipotecznych Sądu Okręgowego w Warszawie, sporządzony przez budowniczego K. Loewego.

Dziennikarstwo zagraniczne. W Neapolu wychodzić zaczęło pod redakcją d-ra Andrea Angiulli pismo poświęcone filozofii p. t. *Rassegna critica di opere scientifiche e letterarie*. Zadaniem pisma będzie zaznajamianie ogół włoski z najnowszymi badaniami uczonych, postępiami filozofii i przejawami działalności literackiej tak we Włoszech, jak i zagranicą. Pismo to wychodzi zesztytami co dwa miesiące.

— Na korzyść dotkniętych wylewem rzek mieszkańców Kalabrii wyszło w Medyolanie, nakładem U. Hoepliego album zbiorowe p. t. *Ausonia. Albo d'arte e letteratura*. Publikacja ta, na którą złożyło się 135 malarzy i literatów włoskich, zawiera między innemi do stu rysunków oryginalnych.

— *Nouvelle Revue* w zeszycie styczniowym zamieściła artykuł Guy de Maupassant'a p. t. *Gustaw Flaubert w życiu domowem*.

— *Revue des deux mondes* pomieszcza dalszy ciąg ciekawej pracy p. Picot *O reformie sądowej*, a mianowicie *O wpływie demokracji na magistraturę w Stanach Zjednoczonych i w Szwajcaryi*.

— W. St. John Brodrick zamieścił w Fortnighly Review ciekawy artykuł p. t. *The relations of the houses of parliament* (Stosunki między dwiema izbami parlamentu).

Konkurs. Do komisji, mającej się zająć ustanowieniem warunków konkursu na wykonanie pomnika dla Mickiewicza, wybrano: dr. Asnyka, hr. Karola Lanckorońskiego, prof. Łepkowskiego, prof. Łuszczkiewicza, Pawła Popiela i prof. Maryana Sokołowskiego.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły w upłynionym tygodniu następujące dzieła:

Czachórskiego Władysława *Portret damy*; Heymana Stanisława *Tamburysta*; Kossaka Juliusza *Kawalerzysta*; Kostrzewskiego Franciszka *Bal pastuszy*; Merwarta Pawła dwa obrazy: *Dumanie* i *Na wędkę*; Pane Nadei *St. Pietro w Wenecyi*; Szymanowskiej Maryi *Św. Wiktoryja*; Wastkowskiego Franciszka *Podwórze chłopskie*; Alberta Dürera *Św. Trójca*; Salzmana *Głowa Chrystusa*.

Teatr. Na scenie krakowskiej przedstawiono obraz ludowy p. t. *Kąkol*, oryginalnie napisany przez p. Franciszka Dominika.

— Wacław Brózek, jeden z najbardziej sławnych malarzy czeskich, wykończył nowy swój obraz przedstawiający *Slavnost' u Rubense* (Uczta u Rubensa). Krytyka wyraża się o płótnie tem nader pochlebnie.

— W teatrze krakowskim przedstawiono komedię p. t. *Błędy młodości*, napisaną przez Sztellera.

— Towarzystwo dramatyczne prowincjonalne p. Puchniewskiego, bawiące obecnie w Kaliszu, wystawiło na miejscowej scenie operetkę *U zulusów*. Libretto oryginalne podłożono pod muzykę słynnej *Fatinity Soupego*.

— Na scenie lipskiej wystawiono sztukę A. Weimara p. t. *Magdalena*.

— W Wiedniu wystawiono komedię p. t. *Ihre Familie*, napisaną przez pp. Stinde i Engels.

— W Wiedeńskim Carlteatrze przedstawiono po raz tysięczny wesołą krotoczwilę p. t. *Lumpaci Vagabundus*.

— Vaudeville paryski wystawił komedię w 3 aktach pp. Nus i Karola Delourey p. t. *Madame de Navaret*.

— Teatr Gymnase w Paryżu wystąpił z nową komedią p. t. *La Noce d'Ambróise*, przez pp. Ernesta Blum i R. Toché.

— W Poznaniu przedstawiono komedię tłumaczoną z francuskiego p. t. *Dyplomata*.

OGŁOSZENIE.

HISTORII FILOZOFII

F. A. Langego,

w przekładzie z 3-go niemieckiego wydania dokonany przez

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO,

Zeszyt trzeci

opuszczył prasę i jest do nabycia we wszystkich księgarniach: W Petersburgu w księgarni W-go Józefa Ungra na Placu Kazańskim.

ZESZTYT CZWARTY I PIĄTY

stanowiące zakończenie 1-go tomu, ukazały się razem w pierwszych dniach kwietnia b. r., przyczem dołączonymi zostają: registr cytowanych pisarzy i okładka.

Cena za całość rs. 6 jednorazowo lub rs. 7 w ratach rublowych przy odbiorze pierwszych siedmiu zeszytów. — Wydawnictwo Bernarda Lesmana, Warszawa ul. Orła, Nr. 2.

Sprostowanie. W nrze poprzednim str. 106, szp. 1, wiersz 7, zamiast *miejscowość*, czyt. *mniejszość*. Str. 97, szp. 1 w. 18, małast za *socyalista* czyt. za *socyalizm*.